

Najważniejsza jest muzyka. Kamil Abt.

Gitarzysta, kompozytor, doktor stosunków międzynarodowych,
mistrz wschodniej sztuki walki bujinkan, podróżnik, urodzony w
Polsce, wychowany w Australii, mieszka we Wrocławiu.





Kamil Abt, fot. arch. artysty

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

Wyjechał Pan z Polski wraz z rodzicami jako dziecko w 1981 r. Czy decyzja rodziców o wyjeździe z kraju była podyktowana sytuacją polityczną?

Kamil Abt (*Wrocław*):

W pewnym sensie tak. Wyjazd był podyktowany bezpieczeństwem rodziny, w kontekście zagrożenia nuklearnego trwającego podczas drugiej zimnej wojny. Rodzice chcieli jak najdalej oddalić się od Europy, dlatego wyjechali aż do Adelajdy.

Czy pamięta Pan tamten czas?

Oczywiście. Moja rodzina wyjechała najpierw do Austrii. Mieszkaliśmy przez jakiś czas w obozie dla uchodźców w Traiskirchen, później w pensjonacie w Unterwaldersdorfie. Pamiętam ucieczkę z przedszkola z koleżanką, zapalenie wyrostka, przejazd karetką, szpital, wizytę rodziców po operacji, samochodzik który od rodziców wtedy dostałem w prezencie. Pamiętam też pierwszy lot samolotem, do Melbourne, a potem Adelajdę i następny obóz dla uchodźców.

W Australii skończył Pan Akademię Muzyczną grał w zespołach muzycznych, współpracował z wybitnymi muzykami. Jak to się stało, że wybrał Pan muzykę, która jest z Panem przez całe życie?

Od zawsze byłem zafascynowany muzyką. Pamiętam, jak babcia zaprowadziła mnie do sklepu z zabawkami, w którym miałem sobie coś wybrać. Na ścianie wisiał kosmiczny pistolet i mała dziecięca gitara; wybrałem gitarę. Później rodzice zabierali mnie na koncerty, słuchaliśmy w domu dobrej muzyki – to były początki mojej edukacji muzycznej. Potem zaproponowali mi lekcje gry na gitarze, na które się oczywiście zdecydowałem. Rodzice mieli wielu znajomych muzyków, którzy u nas w domu bywali, wraz z artystami z innych dziedzin. Mama skończyła szkołę muzyczną, dziadek śpiewał, tata grał na gitarze... to

wszystko wpłynęło na mój wybór.



Kamil Abt, fot. arch. artysty

Gra Pan głównie jazz. Co Pana w nim fascynuje?

Po pierwsze wolność – bo jazz to podejście do grania muzyki na podstawie dużej ilości harmonicznej, melodycznej, rytmicznej i strukturalnej swobody. A po drugie – improwizacja. To fundament wolności w jazzie i bez niej, jazz nie istnieje.

**Pana Mama jest poetką i naukowcem - literaturoznawcą.
Czy współpracuje Pan z Mamą, tworzy muzykę do jej
tekstów?**

Tak. Aktualnie trwa praca nad płytą utworów skomponowanych przez przyjaciół Mamy do jej wierszy. Przearanżowałem i urozmaiciłem je na jazzowo.

Proszę opowiedzieć o tej płycie?

Inspiracją dla muzyków przy tworzeniu płyty „Wariatka” były te wiersze Mamy, które mówią o uczuciach i ciągłej potrzebie kochania. Życie, zwłaszcza życie na emigracji, zakorzenione jest nie tyle w miejscu, czy kulturze, ile w potrzebie spełnienia się i miłości. Miłość – podobnie jak muzyka i wiersz – nie zna granic, stereotypów i podziałów.

Prezentowane na płycie piosenki, zarówno tekstowo jak i muzycznie, cechuje impulsywność. Słowa pędzą i stają, potem łączą się i krzyczą, muzyka czasami je zamyka lub porzuca, a czasem daje upust nastrojowości i melodyjności. Dlatego prezentowane piosenki są podobne do miłości.

Wszystkie piosenki – pierwotnie były wykonywane na żywo na imprezach artystycznych i recitalach poetycko-muzycznych, a dzięki jazzującej aranżacji i muzycznej wyobraźni wykonawców,

otrzymały nową, nieskrępowaną kanonami interpretację instrumentalno-wokalną.



Kamil Abt, fot. arch. artysty

Płyta zatem bardzo ciekawie się zapowiada. A pana Tata, który odszedł cztery lata temu, czego Pana nauczył, czym zainspirował?

Był szanowany, ciepły, odważny, charyzmatyczny, zabawny, kochany przez wszystkich. Tym wszystkim mnie zainspirował i nadal inspiruje.

Jest Pan obieżyświatem, spędził Pan cztery lata w Japonii,

grał w różnych klubach muzycznych w kilku krajach Europy, Australii i Azji. Czego dowiedział się Pan o sobie, podczas tych licznych podróży?

Ze umiem się odnaleźć wszędzie, nie tracąc siebie.

Widząc Pana muzyczne pasje nasuwa się pytanie, jak to się stało, że obronił Pan doktorat ze stosunków międzynarodowych ? Czy chciał Pan zostać dyplomata?

Świat dyplomacji wydaje się fascynujący, przez swoją tajemniczość, ale wolę przebywać wśród sztuki, aniżeli machiawelizmu. Przygoda ze stosunkami międzynarodowymi zaczęła się podczas mojej rekonwalescencji po ciężkim wypadku motocyklowym w Japonii. Po skończeniu studiów magisterskich, zaproponowano mi studia doktoranckie, wraz ze stypendium. Uczenie się jest wspaniałe, daje możliwość rozwoju, więc dlaczego miałbym odmówić? Jednak ten epizod skończył się konkluzją, że najważniejsza dla mnie jest sztuka muzyczna. To ona mi sprawia najwięcej radości i ma największe znaczenie.

W 2014 r. zamieszkał Pan na stałe w Polsce. Skąd ta decyzja? Chciał Pan odszukać swoją przeszłość, korzenie, ścieżki, którymi podążali bliscy?

Dokładnie tak. Poza tym, chciałem dołączyć do europejskiej

sceny jazzowej. Na myśli też miałem bliższy kontakt z rodziną oraz z językiem polskim.

Jak się Pan odnalazł we współczesnej Polsce?

Różnie to bywa. Z jednej strony bardzo podoba mi się polska miłość do wolności, szlachetność i niebezpośredniość. Z drugiej strony, obserwuję, że w Polsce ludzie często kierują się stereotypami; nie przyglądają się dokładnie, nie widzą istoty rzeczy. Skupiają się raczej na ogólnej formie, a co do szczegółów, kierują się historią i utartymi szlakami. Boją się zadawać pytania. Przez to, mam czasami wrażenie, że jestem na siłę wpychany w kategorie myślowe, do których nie pasuję.



Kamil Abt, fot. arch. artysty



Strona Kamila Abta:

Start



Zobacz też:

Aborygeni i ich świat

Triumf światła i nadziei

Wywiad z Martínem Garcíą Garcíą, zwycięzcą Konkursu
Pianistycznego w Cleveland i laureatem trzeciej nagrody na

XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, gdzie otrzymał także nagrodę specjalną za najlepsze wykonanie koncertu.



Martín García García, fot. Wojciech Grzędziński

Bożena U. Zaremba (*Floryda*):

Na Pańskim portalu można znaleźć następujące oświadczenie: Martín García García poczuwa się do odpowiedzialności i służby społeczeństwu, [...] zdając sobie sprawę z głębi przekazu jaki ma do zaproponowania każdej osobie, która przychodzi go posłuchać". To niebagatelna deklaracja.

Martín García García:

Tak, to materiał na całą książkę [*śmiech*]. Co mam na myśli to to, że muzyka jest jedynym narzędziem jakim dysponuję, żeby przekazać słuchaczom sprawy transcendentne. Osoba religijna, na przykład, ma do nich dostęp przez swoją wiarę, ale muzyka daje więcej, bo przekazuje wartości związane z całym człowieczeństwem. Muzyka dotyczy jednostki, a nie jakiejś dogmatyki, w którą niektórzy wierzą, inni, nie. Muzyka daje nam możliwość przekazania tych transcendentnych wartości każdemu słuchaczowi.

Czy mówimy tutaj o uniwersalności muzyki?

Wszyscy mówią, że muzyka jest uniwersalna, ale tak naprawdę, to nie wiem, co to znaczy. Może to, że przekaz, jaki niesie muzyka jest w stanie dotrzeć do każdego człowieka na naszej planecie? Zawsze staram się dać z siebie wszystko, bez względu na to, czy słucha mnie jedna osoba, czy wiele. Nie ma dla mnie znaczenia, ile osób słucha, ale jak gram.

Czy podczas podróży stara się Pan dowiedzieć czegoś o lokalnych mieszkańcach, ich historii, języku, tradycjach, lub też zatopić się w ich kulturze?

Tak, oczywiście, próbuję dowiedzieć się przynajmniej trochę,

choć nie zawsze jest to możliwe. Mając pięć koncertów w pięciu różnych miejscach podczas, dajmy na to, dwóch dni, musiałbym spędzić 24 godziny na dobę, żeby poczytać na ten temat. A mam w końcu tylko dwie ręce, jeden mózg i dwoje oczu [śmiech].

Czy czuje Pan szczególny związek ze swoim hiszpańskim dziedzictwem?

Jak najbardziej. Urodziłem się w północnej Hiszpanii. Moja mama zawsze śpiewała w domu *a cappella*, głównie hiszpańskie piosenki ludowe, n.p. flamenco. Ta muzyka była przekazywana z pokolenia na pokolenie, a mama zna około 50 takich pieśni. Z muzyką hiszpańską odczuwam głęboką więź.

A co z hiszpańską muzyką klasyczną i pianistami?

Jest dużo wspaniałej muzyki hiszpańskiej, szczególnie na fortepian. Jest [Mateo] Albéniz, [Enrique] Granados czy [Federico] Mompou, którego odkryłem nie tak dawno. Jego muzyka jest bardzo głęboka i miała na mnie ogromny wpływ podczas pandemii. To chyba najważniejsi i najbardziej wpływowi kompozytorzy, może też dlatego, że wszyscy byli także znakomitymi pianistami. Oczywiście była też Alicia de Larrocha. Prowadziła nawet klasy mistrzowskie w mojej szkole muzycznej w Madrycie, chociaż było to na długo zanim ja się tam znalazłem.

Jej wpływ na każdego pianistę w Hiszpanii był ogromny.

Wygrał Pan Konkurs Pianistyczny w Cleveland i jest Pan laureatem trzeciej nagrody na XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, gdzie otrzymał Pan także nagrodę specjalną za najlepsze wykonanie koncertu. Czym różniły się te dwa konkursy?

I na jednym, i na drugim, organizatorzy starali się, żebyśmy nie czuli się jak podczas konkursu, ale raczej jakiegoś festiwalu, czy święta muzyki. Jednak były od siebie bardzo różne – inny kraj, inna publika, poza tym każdy z dyrektorów miał zupełnie inną osobowość. W Cleveland nie było tyle stresu, mieliśmy więcej czasu, a ze względu na pandemię, w półfinale znalazło się mniej osób. Mogliśmy się przez to lepiej poznać i atmosfera była podobna do – no, nie wiem – miłego spotkania przy winie. W Warszawie, było zupełnie odwrotnie – to było szaleństwo. Długie i bardzo intensywne. Nie miałem tremy, ale za Konkursem Chopinowskim stoi ogromna historia, z mnóstwem opowieści i anegdot. Każdy młody pianista zna, na przykład, te sławetne schody, które prowadzą na scenę Konkursu. Poza tym wszyscy znamy jurorów, czy to z koncertów, czy innych konkursów. Wielu z nich wygrało Konkurs Chopinowski. To są chodzące legendy. Więc pod tym względem, było to dość ekstremalne doświadczenie.

Podczas trwania Konkursu Chopinowskiego, dzięki streamingowi można było oglądać to, co działo się w kulisach, na przykład wywiady z poszczególnymi uczestnikami lub dyskusje w większym gronie. Wyczuwało się współzawodnictwo, ale także przyjacielskie stosunki, jakąś komitywę...

[... Tak,] odczuliśmy to szczególnie w finale, dlatego, że do tego czasu zdążyliśmy się bliżej poznać. Wszyscy byliśmy wykończeni, ale świetnie się rozumieliśmy, bo stanowiliśmy grupę ludzi, którzy w tym samym czasie przechodzili przez to samo. W związku z tym poczucie współzawodnictwa zniknęło.



Martín García García przed wejściem na scenę XVIII
Międzynarodowego Festiwalu Pianistycznego im. Fryderyka
Chopina, *fot. Wojciech Grzędziński*

**Podczas tych spotkań, Pan ciągle żartował i wszystkich
rozbawiał. To poczucie humoru widać też w Pana grze. Na
YouTube w jednym z komentarzy po trzecim etapie ktoś
napisał, że „podczas gdy [inna uczestniczka] wydobywa
ciemną stronę Chopina, Martín García wydobywa jasną
stronę jego muzyki”. Czy zgadza się Pan z tym?**

Tak, jak najbardziej. Z Chopinem związane jest pewne
nieporozumienie, że jego muzyka to mrok i desperacja. Ja nie
widzę tego w jego muzyce. Dla mnie Chopin jest jak dwie strony
medalu. Jest niejednostronny i to właśnie staram się pokazać w
moich interpretacjach.

**W Atlancie zagra Pan Sonatę b-moll op. 35, a podczas
Konkursu zagrał Pan Sonatę h-moll op. 58. Czym się różnią
te dwa utwory?**

Wszystkim! I do tego trzeba by napisać dwie książki! [śmiech].
Pierwsza zmierza w tym ciemnym kierunku, druga w jasnym.
Jedyną rzeczą wspólną (oprócz oczywiście kompozytora) są
głębokie korzenie w Beethovenie, a wcześniej w Bachu. To dwie
strony Romantyzmu: jedna zakorzeniona jest w nurcie *Sturm und
Drang*, który pojawił się pod koniec XVIII i miał wpływ na sztukę

XIX wieku, pełnym głębokiej desperacji i ciemności. Natomiast w Sonacie h-moll Chopin idzie w kierunku abstrakcji. To taka symfonia na fortepian. Chopin wkracza w świat emocji, a potem się wycofuje.

Jaką rolę odgrywa Chopin w Pańskim repertuarze?

Taką, jak każdy genialny kompozytor – staram się każdemu z nich poświęcić równą uwagę. W związku z Konkursem Chopinowskim musiałem oczywiście poświęcić dużo czasu muzyce Chopina, co miało swoje reperkusje – ta część mojego repertuaru jest bardziej rozwinięta. Uważam Chopina za swojego „przyjaciela” i z jego muzyką czuję szczególną więź.

Co w jego muzyce ceni Pan najbardziej?

Chopin to jak podróż przez całą gamę stylów i emocji, które są zawarte zarówno w jego burzliwym życiu, jak i w jego dziełach. Fascynuje mnie głębokie powiązanie z Bachem i to we wszystkich jego utworach, a szczególnie w Sonacie h-moll. Tak, jak Bach na początku XVIII wieku, Chopin stworzył pewien „szablon” dla przyszłych pokoleń pianistów i muzyków. Poza tym, cenię u Chopina to, że obok wszechobecnej w jego muzyce ciemności, każdy utwór zawiera autentyczny triumf światła i nadziei. Chopin był człowiekiem o większej sile i energii niż by się to mogło wydawać!

Porozmawiajmy o początkach Pana związków z muzyką. Zaczął Pan grać na fortepianie we wczesnym wieku. Dlaczego wybrał Pan fortepian? Czy ciągnęło Pana do innych instrumentów?

To był zwykły przypadek, chociaż przerodził się w długotrwały związek. To wszystko zaczęło się od mojego brata, który jest starszy ode mnie o siedem lat i który odkrył fortepian w swojej szkole podstawowej. Od początku miałem też szczęście do nauczycieli, którzy przyjechali do Hiszpanii ze Związku Radzieckiego. Zacząłem z nimi grać, gdy miałem pięć lat. To oni coś we mnie dostrzegli i mieli wizję mojej przyszłości. Potem odkryłem inne gatunki muzyki, takie, jak na przykład balet Czajkowskiego. Gdy byłem starszy, zakochałem się w brzmieniu skrzypiec i prosiłem: „Czy mogę też grać na skrzypcach?” Ale mama powiedziała, że nie ma wystarczająco czasu na oba instrumenty. Miała rację. Zawsze kochałem muzykę, ale tak się zdarzyło, że związałem się z fortepianem.

Studiował Pan także w Stanach Zjednoczonych, w Mannes School of Music w Nowym Jorku. Jak do tego doszło?

Byłem w Stanach przez dwa lata. Początkowo przyjechałem na klasy mistrzowskie prowadzone przez Jerome Rose. Mielśmy wtedy krótką rozmowę, podczas której zaproponował, żebym przyjechał do Nowego Jorku na jego festiwal, a potem

zobaczymy, co dalej. Wróciłem do Madrytu i przemyślałem to sobie. W końcu zdecydowałem, że najwyższy czas opuścić gniazdo. To była dla mnie znakomita okazja. Pojechałem na ten festiwal w 2017 r. To, co zaproponował mi Prof. Rose było całkowicie odmienne od sposobu nauczania, do którego byłem przyzwyczajony. Był bardziej moim mentorem niż tylko nauczycielem i wprowadził mnie nie tylko w meandry muzyki, ale także zawiłości samego życia. Miał na mnie ogromny wpływ. Rozmawialiśmy o muzyce, kulturze i sztuce. To było szalenie interesujące. Dalej utrzymujemy ze sobą kontakt.



Martín García García podczas finałowego etapu XVIII Międzynarodowego Festiwalu Pianistycznego im. Fryderyka

Chopina, fot. Darek Golik

Niedawno słuchałam ciekawego wywiadu z przed kilku lat ze [światowej sławy wiolonczelistą] Yo-Yo Ma, w którym przyznał się, że dopiero niedawno uzmysłowił sobie, że oprócz miłości do muzyki, ma w sobie też miłość do bycia muzykiem. Czy jest to niezbędne do trwałej kariery?

Oczywiście, ale może zadajmy sobie pytanie: Co to w ogóle znaczy, że się coś kocha, że czujemy do czegoś pociąg czy uwielbienie? Nie możemy przecież czuć tego przez 24 godziny na dobę. Więc pytam: Jak? Jak dużo? Kiedy? Jeżeli postrzegamy miłość jako jakieś zauroczenie nastolatka, to w pewnym momencie człowiek zaczyna dostrzegać, że to do niczego nie prowadzi, że trzeba pomyśleć jak tę miłość podtrzymać. A to wymaga wysiłku i poświęcenia. Też trzeba znaleźć jakiś cel. Tak jak w każdym związku. Jeżeli muzyk chce utrzymać to „małżeństwo” z muzyką, miłość do samej profesji jest koniecznością. A kiedy to zaczyna ciebie przerastać (co zdarza się każdemu profesjonalnemu muzykowi) trzeba znaleźć sposób na podtrzymanie tej iskry. W moim przypadku, staram się podczas każdego koncertu odnaleźć głęboki sens. Tylko wtedy jestem w stanie zagrać 70, może 90 koncertów rocznie.

Yo-Yo Ma także powiedział - i być może jest to truizm - że najpierw trzeba słyszeć muzykę w głowie zanim się ją zagra. Zgadza się Pan z tym?

Ja widzę to tak: trzeba „stać się” każdym utworem, który chce się zagrać. Inaczej mówiąc, trzeba mieć całkowitą kontrolę nad tym, co się chce przez dany utwór przekazać.

Czy ma Pan jakieś inne zainteresowania oprócz muzyki?

Uwielbiam samochody i „ściganie się” na symulatorze komputerowym. A tak generalnie mówiąc, lubię proste rzeczy. Lubię, na przykład spacer po parku. Zważywszy na mój zwariowany grafik to dla mnie prawdziwy luksus. Lubię też czytać i dobrze zjeść.

Powróćmy do punktu wyjścia i celów muzyki. W Chopin Society of Atlanta staramy się poprzez muzykę klasyczną propagować rozwój intelektualny, emocjonalny i duchowy. Czy wierzy Pan w taką misję?

Więcej niż wierzę. Jakiś czas temu rozpocząłem inicjatywę w Nowym Jorku, którą nazwałem „Musical Society”, a której misja jest bardzo zbliżona do tego, co robi Chopin Society of Atlanta. To jest projekt globalny i mam już studentów z Japonii czy San Francisco. Jego celem jest wpłynąć na ludzkie serca. Od jakiegoś roku zauważyłem w wielu miejscach na ziemi, że mnóstwo muzyków po 20-tce zauważa, że brak im w życiu celu. Wydają się zagubieni. Mają muzykę – narzędzie, które może nadać sens ich życiu, ale nie korzystają z niego. W projekcie znajdują się koncerty,

wykłady i klasy mistrzowskie. I nie chodzi tu o to, żeby uczyć, jak ustawić palce na klawiaturze, ale raczej pokazać jak to jest, kiedy człowiek wychodzi z koncertu z poczuciem odrodzenia.

(tłum. Bożena U. Zaremba)

Recital pianisty w Atlancie - 11 marca, godzina 7.30 pm.

Szczegóły:

<http://chopinatlanta.org/events.html>

Angielska wersja wywiadu na stronie Chopin Society of Atlanta:

<http://chopinatlanta.org/martin-garcia-garcia-interview-2023.htm>

1

*

Zobacz też:

Chopin zdobywa Atlantę

Czekając na Chopina

Jestem trochę
Polakiem, ponieważ
jestem wielojęzyczny

Z Marco Americo Lucchesim, brazylijskim poetą, naukowcem,
eseistą, tłumaczem – rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Marco Lucchesi, fot. arch. Aleksandry Ziółkoskiej-Boehm

Pasją Marco Americo Lucchesi jest poezja. Tłumaczył na język portugalski poetów takich jak: Nagib Mahfuz z Egiptu, Umberto Eco i Mario Luzi z Włoch, Paolo Dall'Oglio z Syrii. Lucchesi pięknie promuje poezję polską w Brazylii. Gdy był redaktorem naczelnym „Poesia Sempre”, pisma Biblioteki Narodowej w Rio de Janeiro, w roku 2008 (Poesia Sempre, numer 30, rok 15 / 2008), ukazał się numer specjalny poświęcony właśnie polskiej poezji. Prowadził wykłady z literatury w Niemczech, we Włoszech, Francji. Jego książki zostały przetłumaczone na wiele

języków: od angielskiego po urdu i bangla. W języku polskim w tłumaczeniu Henryka Siewierskiego ukazał się jego tomik zatytułowany 21 wierszy (Tesseractum, 2021).

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Urodził się Pan w 1963 roku w Rio de Janeiro. Jak Pana włoska rodzina pochodząca z Toskanii znalazła się w Brazylii? W jakim języku mówiono w domu?

Marco Americo Lucchesi: Moja rodzina pochodzi z prowincji Lucca, z małego miasteczka Massarosa, położonego między morzem, górami i jeziorem Massacciucoli. Miasteczko to kochał i często odwiedzał Giacomo Puccini. Moi rodzice znali się od dzieciństwa. Tak się złożyło, że podczas II wojny światowej nasze miasteczko zostało wyzwolone przez wojsko brazylijskie i w ten sposób również dalsze dzieje naszej rodziny zostały związane z Brazylią. Przede wszystkim dlatego, że mój ojciec otrzymał propozycję pracy w branży komunikacyjnej. Moja babcia ze strony matki również przybyła do Brazylii. Miał to być pobyt tymczasowy, ale w końcu ich prochy spoczęły na ziemi brazylijskiej. Na ziemi, która jest teraz dla mnie ziemią świętą. To wspomnienie przywołuje wiersz Miłosza: stare kobiety w kościele, ich straconą młodość, ich piękno, ich kruchość! W domu mówiliśmy po włosku, zaś po portugalsku tylko w szkole. Dlatego kiedy mówię po włosku, ludzie od razu rozpoznają mój tokański akcent.

Szkołę i studia (magisterium i doktorat z literatury, habilitacja z historii) kończył Pan w Brazylii. Jak Pan wspomina okres studiów?

Jako skok w świetliste głębiny! Jeszcze przed studiami na uniwersytecie pożerałem książki. Od dwunastego roku życia moi nauczyciele byli dla mnie oknem na świat. Oknem – ale nie przykładem. Czułem się jednakowoż nieraz samotny i starałem się zachować moją niezależność pomiędzy umiarem i belcanto. Historia przemawiała do mnie przez Heraklita, a literatura przez Parmenidesa. I jeden, i drugi byli dla mnie ważni. Nawiasem mówiąc, obecność klasyków, muzyki, pianina, Dantego jest esencją śródziemnomorskiego *joie de vivre*. Do dziś wysoko cenię historię filozofii i nie potrafię obyć się bez perspektywy przeszłego czasu.

Skąd u Pana pasja i zapal do znajomości języków obcych? Czyta Pan i porozumiewa się w językach: portugalskim, włoskim, niemieckim, francuskim, angielskim...

I w jeszcze kilku innych. Być może to kwestia genów: mój dziadek ze strony ojca był poliglota. Ponieważ jestem wielojęzyczny, to być może jestem także trochę Polakiem. Żartuję – moja znajomość języka polskiego jest tylko pasywna, niemniej podczas spotkania w Stowarzyszeniu Polskich Pisarzy i brazylijskiej Akademii Literatury udało mi się wygłosić krótkie

przemówienie po polsku. Nauka języków obcych to nałóg, którego nie potrafię się pozbyć. Ale teraz już uczę się mniej intensywnie, bo zaangażowałem się w wiele projektów literackich i muzycznych. Być może to wszystko wynika z mojego dwujęzycznego pochodzenia i wychowania, a także z tego, że wyznając miłość, czynię to w dwóch językach. Pewnego razu, odwiedzając więźniów, poznałem Rumuna i mówiliśmy po rumuńsku. Na pożegnanie uściskał mnie serdecznie, bowiem tam, w więzieniu, stał się, jak mówił, sierotą własnego języka. Nigdy nie zapomnę tego spotkania! Słowa potrafią być aniołami lub demonami, zależnie od naszego wyboru.

Jak zaczęła się Pana nauka języka polskiego?

Mój pierwszy kontakt z językiem polskim zawdzięczam znajomym, Józefowi Lutkowi i jego żonie. Byłem bardzo młody, gdy zacząłem uczyć się tego niezwykłego „spotkania” spółgłosek i osobliwego nosowego dźwięku. Dźwięku, który pozwala odkryć, jak starodawny on jest wśród języków słowiańskich. No i oczywiście postać Jana Pawła II, która mi otworzyła inne horyzonty. Nauka rosyjskiego z kolei pomogła mi pogłębić i rozszerzyć słownictwo. Przede wszystkim zostałem oszołomiony wielkością poezji Mickiewicza, Różewicza, Herberta i Miłosza. Szczególnie zaś powieściami i dramaturgią Gombrowicza. Oczywiście również i wielu innych pisarzy, ale wspominam tu tych, którzy zaprowadzili mnie do księgarni w Paryżu. No a

potem był Assimil i moja pierwsza podróż do Krakowa. Jakże pamiętna!

To z wczesnej nauki gry na fortepianie, śpiewu, języków obcych wyniósł Pan tak głębokie i szczególne przygotowanie do „wejścia w dorosłość”?

Języki obce pozwalają zrozumieć świat i umożliwiają opowiedzenie o jego pięknie, jego tajemnicy, nadziei i okrucieństwie. Język jako taki jest filozoficznym sposobem na to, by zrozumieć wszystko, co nieuchwytnie. Jest dla mnie, powiedziałbym, wokalnym tembrem, akcentem, cegłą wieży, której już nie ma. Z tego punktu widzenia *langue* i *parole* może też być odebrane jako śpiew chóralny. Głosząc takie prawdy, mam na myśli utwory Gombrowicza czy „Wesele”, ale także dzieła Brunona Schulza. Każdy język jest poetyckim systemem samym w sobie. Każdy język zasługuje na swojego poetę. Obecnie tłumaczę tureckiego poetę Yunus Emre ze słownika osmanli.. Zachwycam się wspaniałymi, dźwięcznymi głoskami: jak ü, jak polskie ł i nosowy dźwięk ą! Tajemnice orkiestry – dla mnie boskiej.

Do głosek dochodzi muzyka.

Jak wspomniałem, to drugi z moich nałogów. Zawsze uwielbiałem grać na pianinie. Nie jestem wirtuozem, ale staram

się grać jak najlepiej i codziennie ćwiczę. Śpiewanie jest również moją wielką pasją. Codziennie śpiewam moje ulubione arie i inne pieśni operowe, które znam na pamięć. To wszystko krąży w moich żyłach. Innym moim przyjacielem obok pianina jest teleskop. Bowiem: studiuj gwiazdy i pentagram, albo czytaj gwiazdy w pentagramie Cyclerona, muzykę w niebieskich globach. Jednak w rzeczywistości chodzi o sprawy o wiele prostsze... Mój ojciec był bardziej „geometryczny”, a moja mama bardziej „liryczna”. Jakże wielką radość przeżywam wciąż ulokowany pomiędzy – z jednej strony gwiazdzistym niebem, a z drugiej czarnymi klawiszami...

Rozmawiała Aleksandra Ziółkowska- Boehm.

Wywiad ukazał się [w:]: ODRA, Wrocław, grudzień 2022 str. 72-73.

Zobacz też:

Historia lubi się powtarzać

Moja fotografia jest przedłużeniem życia

Najważniejsze jest współczucie

Rozmowa z Anną Taborską, córką wybitnych polskich humanistów, mieszkających w Londynie – o rodzicach i wartościach wyniesionych z domu.



Anna Taborska

Joanna Sokolowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

Pani Anno, jest Pani córką osób niezwykle zasłużonych dla polskiej kultury i nauki. Pani mama to prof. Halina Taborska, filolog, filozof, historyk sztuki, wykładowca akademicki. Pani tata to teatrolog, tłumacz, poeta i krytyk literacki. Obydwoje urodzili się przed wojną. Proszę opowiedzieć, z jakich rodzin pochodzili, jak się poznali...

Anna Taborska (*Londyn*):

Pani Joanno, serdecznie dziękuję za zaproszenie na rozmowę o moich rodzicach. Miło mi bardzo u Państwa gościć.

Moja mama urodziła się w Puławach, pochodziła z rodziny szlacheckiej. Jej mama, Natalia, była nauczycielką, a tata pochodził z francuskiej rodziny. Gdy wybuchła wojna wstąpił do wojska polskiego. Mama miała dwie ciocie i trzech wujków, jednego zamordowali bolszewicy, drugiego Rosjanie we wrześniu 1939 roku, trzeciego zabił snajper niemiecki podczas walki o Kościół Świętego Krzyża w Warszawie 23 sierpnia 1944 r.

Mój tata urodził się w Toruniu. Pochodził z rodziny o tradycjach powstańczych i wojskowych. Oboje dziadkowie zginęli w Powstaniu Styczniowym, jego ojciec był legionistą i oficerem artylerii, walczył w dwóch wojnach światowych. Podczas II wojny uciekł z transportu do jednego z obozów katyńskich. Przeżył wojnę. Mama mojego taty, Irena, była stomatologiem, działała w konspiracji, została zamordowana przez Niemców w 1944 r. Tata jako nastolatek wstąpił do AK, walczył w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie, był ranny.



Bolesław Taborski



Bolesław Taborski ze swoją mamą Ireną

*

Jak to się stało, że zamieszkali na Wyspach Brytyjskich?

Po upadku Powstania Warszawskiego, mój tata został wywieziony do obozu jenieckiego w Niemczech, w Sandbostel, koło Bremy. W kwietniu 1945 r. obóz wyzwolili Brytyjczycy (Gwardia Walijska). Przez pół roku po zakończeniu wojny

przebywał w obozach byłych jeńców, po czym poszedł do Liceum Polskiego w Lubece, gdzie zdał maturę w 1946 r. Koniecznie chciał wracać do Polski, ale stamtąd przychodziły złe wieści, m.in. o aresztowaniach Akowców, więc postanowił pojechać do Włoch i wraz z Armią Generała Andersa dotarł do Anglii. Po dziesięciu miesiącach w obozie dla uchodźców został przyjęty na uniwersytet w mieście Bristol, gdzie studiował teatrologię i anglistykę.

W Polsce zapanowała wtedy głęboka stalinowska noc, więc tata postanowił zostać w Anglii i przeniósł się do Londynu, gdzie brał udział w polskim życiu społecznym i literackim. Wraz z innymi początkującymi poetami założył pismo literackie, „Merkuriusz Polski”, a potem jego kontynuacją było pismo „Kontynenty”. Działal też w organizacjach społecznych, był wice-prezesem zrzeszenia studentów i absolwentów polskich na obczyźnie. Coraz więcej pisał, był recenzentem teatralnym w tygodniku „Życie”, pisał do paryskiej „Kultury”, zajmował się publicystyką. W 1957 r. wydał swój pierwszy tomik wierszy „Czasy Mijania”. W tym czasie odbył też pierwszą po wojnie podróż do Polski.

Znajomi poprosili tatę, by zawiózł przesyłkę dla ich koleżanki, która przygotowywała się do doktoratu na Uniwersytecie w Warszawie. Była to moja mama, która wcześniej, pomimo świetnych wyników w szkole i zdania bardzo dobrze egzaminu wstępnego, miała duże problemy z dostaniem się na studia z

powodu „niewłaściwego” (czyli szlacheckiego) pochodzenia, jak również dlatego, że nie chciała wstąpić do ZMP (Związek Młodzieży Polskiej), ani deklamować wierszy wychwalających Stalina. W każdym razie, zainteresował mamę kolega ze szkoły (który był w ZMP) i w końcu poszła na studia, a potem robiła doktorat u profesora Władysława Tatarkiewicza na Uniwersytecie Warszawskim. Tu właśnie szukał jej mój tata, ale wciąż się mijali, aż wreszcie spotkali się na ulicy Puławskiej, którą mama szła ze wspólnym znajomym.



Halina i Bolesław Taborscy, lata 60-te

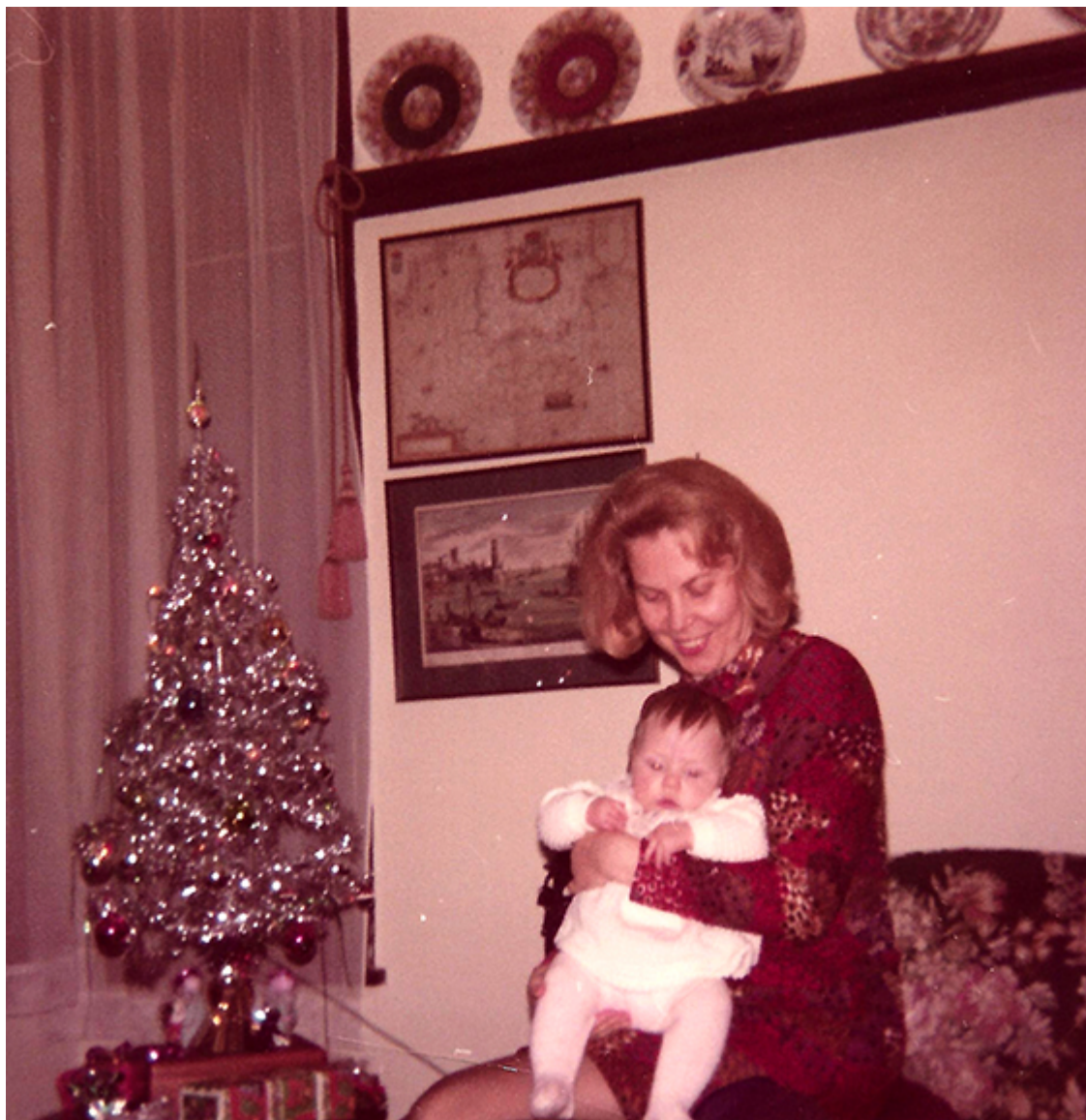
Tata zakochał się od pierwszego wejrzenia i zaprosił mamę do teatru, a potem na kolację, gdzie bardzo mamie zaimponował, bo zapytał ją czy chce zjeść deser, co „zbiło ją z nóg”, jak

wspominała prawie pół wieku później, „bo w tamtych studenckich czasach nie było pieniędzy na desery”. Moi rodzice oboje mieli „słodki ząb”, jak to się mówi po angielsku. Po tym pierwszym pobycie w Polsce tata wrócił do Londynu. W tym okresie Polska Sekcja Radia BBC ogłosiła konkurs na pracę etatową, na którą kandydował i został przyjęty. W BBC chciano, żeby pracę zaczął od zaraz, ale on uważał, że musi jak najszybciej, jeszcze w tym samym roku, odbyć drugą podróż do Polski i namówić mamę na wyjazd do Londynu. Przekonał ją, że w związku z tym, że pisała pracę doktorską o współczesnej estetyce brytyjskiej, powinna przyjechać do ich wspólnych przyjaciół do Londynu i wtedy będą mieli okazję spędzić więcej czasu razem.

Podróżowali razem sporo po Anglii, a po paru miesiącach pobytu mamy w Londynie, czyli po roku już w sumie znajomości, pobrali się. Nie była to dla mamy łatwa decyzja, bo nie chciała zostawić swojej mamy, mojej babci Naty, samej w Polsce. Jak ja się urodziłam, to Nata przyjechała i mieszkała z nami przez kilka lat w Londynie. Kiedy lekarze powiedzieli jej, że jest zbyt chora i delikatna, żeby podróżować, to postanowiła wrócić na koniec życia do Polski.



Bolesław Taborski z Anią i ze swoim ojcem Józefem



Halina Taborska z Anią w domu jej rodziców chrzestnych, 1969 r.

*

Urodziła się Pani w Anglii, ale świetnie posługuje się Pani językiem polskim. Czy w domu rozmawiało się po polsku?

Bardzo dziękuję za komplement, Pani Joanno, ale chciałabym o wiele lepiej mówić i pisać po polsku! W domu rozmawiało się po

polsku. Przez pierwsze lata mojego życia mieszkała z nami właśnie mama mojej mamy, Nata, która uczyła mnie polskiego, a że pochodziła z Kresów, to podobno jak byłam mała, mówiłam z pięknym kresowym akcentem. Niestety od dawna go nie mam. Zresztą, rodzice stwierdzili, że abym tak naprawdę była w stanie nauczyć się i zapamiętać język polski, to powinnam mieć styczność tylko z tym językiem zanim pójdę do angielskiej szkoły. Tak więc, do czwartego roku życia znałam właściwie tylko język polski, a angielskiego uczyłam się dopiero w przedszkolu. Lekcje języka polskiego kontynuowałam w polskich szkołach sobotnich: najpierw w szkole dla dzieci od 5 do 16 lat, a potem w szkole maturalnej dla młodzieży od 16 do 18 lat, gdzie do matury z języka polskiego (a właściwie z literatury polskiej) przygotowywała nas moja mama. Dawała nawet wszystkim swoim uczniom korepetycje u nas w domu i muszę się tu pochwalić, że zdałam na piątkę!

Jak wspomina Pani swój dom rodzinny?

Mój dom rodzinny był pełen miłości, życzliwości, tolerancji, wzajemnego szacunku. Jak byłam mała, mama śpiewała mi, a babcia i tata czytali mi książki (moje ulubione to: „Dar Rzeki Fly”, „Przygody Baltazara Gąbki”, „Mniejszy Szuka Dużego”, „Groszek i Natalia”, „Cyryl, gdzie jesteś?”, „Uwaga! Czarny Parasol!” i „Kubuś Puchatek”).



Rodzina Taborskich z babcią Natą, lata 70-te

Tato przed snem nosił mnie po całym domu na ramionach; nazywało się to „runda honorowa” – bardzo to lubiałam. Jak zasypiałam, to do snu towarzyszyły mi cichutkie dźwięki muzyki klasycznej i stukania maszyny do pisania z gabinetu taty (tata do końca życia pisał na Olimpi z lat 1950-tych). To też bardzo lubiałam.

W szkole podstawowej, rodzice interesowali się jak miałam zadanie domowe. Pomagali mi, gdy musiałam pisać wypracowania. W pierwszej klasie szkoły średniej pamiętam jak musieliśmy napisać wiersz z punktu widzenia drugoplanowej postaci z „Hamleta”. Nauczycielce i uczniom nie podobał się mój wiersz, ale mój tato powiedział mi, że sam byłby dumny z siebie, gdyby napisał ten wiersz. Ten epizod wszystko zmienił i dał mi

wiarę w siebie i w to, że to, co piszę ma wartość. Teraz myślę czasem o tym, jak bardzo musimy się liczyć z naszymi słowami, szczególnie w stosunku do dzieci i osób młodych, niepewnych siebie i swojej wartości.

Gdyby nie słowa mojego taty, gdyby zakodowały się we mnie tylko słowa nauczycielki i koleżanek, to prawdopodobnie zrezygnowałabym z pisanie i nie byłabym teraz pisarką. Później też tata zawsze miał coś dobrego do powiedzenia o moich opowiadaniach. Mama z kolei, zawsze miała uwagi jak poprawić moje prace, co należałoby wyrzucić, co można dodać. I ta „konstruktywna krytyka” od mamy też ogromnie mi pomagała. Mama zawsze jako pierwsza czytała moje opowiadania, jak tylko kończyłam je pisać. Bardzo mi tego teraz brakuje.





Boże Narodzenie u Haliny i Bolesława Taborskich w Londynie

Proszę opowiedzieć, jak wyglądały Święta Bożego Narodzenia w Pani domu, czy obchodzona była Wigilia, czy święta miały polski nastrój?

Święta spędzaliśmy z przyjaciółmi – ze Zbyszkim i Magdą Czajkowskimi i ich dziećmi (Zbyszek był zaraz po wojnie w klasie maturalnej z tatą w Lubece, a wcześniej służył pod komendą

Krzysztofa Baczyńskiego w Powstaniu Warszawskim), lub z Czesławem i Danusią Kamińskimi i ich córką (Czesław służył w Pierwszym Korpusie u Generała Maczka). W Wigilię chodziliśmy do nich, a oni w pierwszy dzień Świąt przychodzili do nas. Słuchaliśmy kolęd nagranych na kasetę, a nastrój był jak najbardziej polski. Czasem po Wigilii tato brał mnie na Pasterkę.

Pani mama wykładała na ponad 30 uczelniach, w tym na Oxfordzie czy Harvardzie. Jak godziła obowiązki domowe, jaką była mamą?

Nie wiem jak to robiła, że tak ciężko pracowała, była świetnym pedagogiem, a zarazem wspaniałą, cudowną mamą. Na pewno pomagało to, że jej mama, Nata, opiekowała się mną w ciągu dnia, gdy ona i tata byli w pracy. Ale i tak codziennie znajdowała dla mnie czas, tak jak i mój tata. Miałam wspaniałe dzieciństwo, zawsze byłam otoczona miłością. Oprócz rodziców i babci, miałam też kochanych rodziców chrzestnych (też Polaków), wybitnego chirurga ortopedę Mirosława Vitali i jego żonę, dentystkę, Marię, tak zwaną Bubę, którzy mieszkali parę domów dalej. Jak myślę o swoim dzieciństwie, a szczególnie o swoich rodzicach, to często robi mi się smutno, bo chciałabym, żeby każdy na świecie miał tak dobrych rodziców jak ja.

Czy mieszkaliście razem z mamą w Ameryce, wtedy, gdy mama pracowała w USA?

Mama pracowała w Ameryce okresowo. Z tego, co pamiętam, to nigdy nie wyjeżdżała na dłużej niż parę miesięcy. Ja wtedy zostawałam z babcią, albo z tatą. Jak miałam dwanaście lat (było to już po śmierci mojej babci), gdy rodzice oboje wykładali w Stanach w okresie letnim, to byłam z nimi. Wtedy głównie tata wykladał, a mama woziła mnie po całych Stanach i pokazywała mi piękne i ważne miejsca – Grand Canyon, Niagara Falls, California Redwoods, San Francisco, Washington D.C., Chicago. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w malutkim mieszkanku w Nowym Jorku, razem z kotką Spark, która, jak wszystkie koty, uwielbiała mojego tatę. Byliśmy we trójkę, m.in. w Muzeum Holokaustu, które zrobiło na mnie ogromne i szokujące wrażenie. Na moje trzynaste urodziny byłyśmy same z mamą u kuzynów taty w Chicago (tata wtedy wykladał) i pamiętam, że mama kupiła mi sandaalki (różowe), i poszłyśmy na lody i do kina na film Spielberga „E.T.”.



Halina Taborska

Pani tata, jako kilkunastoletni chłopiec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Prowadził dzienniczek, w którym zapisywał wydarzenia z każdego dnia walk. Czy w domu rozmawiało się o wojnie, o Powstaniu?

W domu nigdy nie mówiło się o wojnie. Choć czułam pewien podtekst. Np. mama bardzo się bała jak wychodziłam wieczorami z przyjaciółmi. Zawsze czekała na wiadomość ode mnie, żeby mogła przyjechać pod taki czy inny dom po imprezie i odwieźć mnie do domu. Myślę, że to wywodziło się z tego, że najpierw, jak miała 5 lat, to jej tata wyszedł z domu i nigdy nie wrócił (był ranny na wojnie, przeżył, ale już nigdy do Polski nie wrócił), a później, zaraz po wojnie, rosyjski wywiad porwał jej mamę, Natę, i przez ponad rok wszyscy myśleli, że nie żyje. O przeżyciach wojennych rodziców zaczęłam się dowiadywać jak już byłam

dorośla i właściwie musiałam wyciągać z nich te informacje.

Obydwoje Pani rodzice byli naznaczeni wojną. Wojna pojawiała się w poezji taty, mama przez 25 lat pracowała nad projektem, który zakończył się publikacją „Sztuka w miejscach śmierci”. Czy uważa Pani, że Pani zainteresowanie horrorem, w postaci nagradzanej prozy czy reżyserii filmów z tego gatunku, wywodzą się ze wspomnień wojennych rodziców?

Myślę, że moje zainteresowanie horrorem wywodzi się właśnie z przeżyć, o których się nie mówiło w domu, ale które gdzieś tam tkwiły w podświadomości, gdzieś głęboko pod powierzchnią radosnego, słonecznego, pełnego miłości domu.

Pomimo tego, że rodzice skutecznie chronili mnie w każdy możliwy sposób, to jednak widzę jaki ten świat jest, co ludzie potrafią zgotować innym ludziom, i to mnie przeraża. W świecie, który już sam z siebie gotuje nam choroby, klęski i wypadki, nie mogę zrozumieć do czego potrzebna jest jeszcze nienawiść i przemoc jednych ludzi w stosunku do drugich. Myślę, że praca dla BBC nad serią o Auschwitz i rozmowy z ludźmi, którzy przeżyli obóz, lub byli świadkami innych wynaturzeń II Wojny Światowej, nie polepszyła mojej opinii o świecie.



Halina i Bolesław Taborscy, lata 80-te

Czy jest coś ważnego, co chciałaby Pani dodać na temat rodziców?

Moi rodzice byli wielkimi humanistami, poświęcili życie pomagając innym, uważali, że każdemu należy się szansa i pomoc.

Mama wykształciła całe pokolenia młodych ludzi, uczuliła ich na piękno, właściwie stworzyła dziedzinę studiów sztuki publicznej.

Pomagała też przez wiele lat różnym rodzinom w Polsce, wspierała je finansowo i woziła im różne rzeczy. Jak już Pani wspominała, mama pracowała na różnych „wielkich” uczelniach, a po przejściu na emeryturę również na malutkim, niezależnym Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie, najpierw wykładając, a w latach 2011-2017 jako rektor. PUNO było bardzo bliskie mamy serca, włożyła w nie dużo czasu i energii. Na szczęście, obecny rektor PUNO, profesor Włodzimierz Mier-Jędrzejowicz, którego mama bardzo lubiła i ceniła, jest również wielkim humanistą i kontynuuje tradycję uczelni. Pozwolę sobie podać Państwu link do strony najmniejszego na świecie polskiego uniwersytetu, którego korzenie sięgają II Wojny Światowej:

Mój tato wspierał młodych twórców, poetów, reżyserów, sprowadzał polskie zespoły teatralne do Londynu i do Edynburga na festiwale, między innymi Kantora i Grotowskiego, budował mosty między Polską a Wielką Brytanią tłumacząc wybitne dzieła literatury z polskiego na angielski i z angielskiego na polski. Był niezmiernie dobry dla ludzi, kochał zwierzęta. Nigdy nie przeszedł obojętnie obok bezdomnego człowieka, czy zwierzęcia.

Pomimo niespotykanej łagodności, tato był stanowczy, jak w coś wierzył to szedł za własnym sercem, nawet gdy go to wiele kosztowało (zresztą, moja mama też). Po śmierci Stalina, gdy już mógł odwiedzać Polskę bez obaw o represje, postanowił

wydawać swoją poezję właśnie w Polsce, pomimo, że miał możliwość drukowania wierszy w Anglii. Jego decyzja oburzyła znaczną część polskiej emigracji londyńskiej, ale tato głęboko wierzył, że właśnie Polacy żyjący pod opresją komunistyczną najbardziej potrzebują poezji, sztuki, wkładu twórczego i intelektualnego oraz dialogu z rodakami za Żelazną Kurtyną. Spotykał się także z poetami, studentami i czytelnikami, czytał im swoje wiersze, dając im dużą radość i poczucie, że nie są całkowicie odizolowani od światowej kultury. Do końca życia był za to krytykowany, a ja jestem z niego ogromnie dumna. Chciałabym być taka dzielna jak on i zawsze iść za własnym sercem, słuchać swojego sumienia pomimo kosztów, jakie się ponosi za własne przekonania.

Pani Joanno, jestem niezmiernie Pani wdzięczna za możliwość wspomnienia trochę o moich cudownych rodzicach. Jeśli pozwoli Pani, to zakończmy wierszem taty, który moim zdaniem podsumowuje podejście moich rodziców do świata i do ludzi:

Współczucie

najważniejsze jest współczucie

dla wszystkiego co na ziemi

ludzi zwierząt i też roślin

skął mórz i znów mówię: ludzi

ono czyni życie znośnym

a jego brak odczłowiecza

weźmy sprawców Holocaustu

sługi diabła na tej ziemi –

udawali że są ludźmi

ba – nadludźmi – byli niczym

nie wiedzieli co współczucie

10.04.06

Z tomiku Bolesława Taborskiego „Plan B. Wiersze 2004-2006”,

Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2007 r.

*

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Anny Taborskiej

*

Filmy Anny Taborskiej:

*

Zobacz też:

Dużo roboty z tym papieżem

Prof. Halina Taborska ur. w 1933 r. w Puławach, zm. 2021 r. w Londynie. Blisko 65 lat jej kariery naukowej w dziedzinie sztuki, filozofii i estetyki wywarło nieoceniony wpływ na kształtowanie się wizerunku Polski, polskiej kultury i sztuki na świecie. Wiele jej projektów badawczych z zakresu sztuki w przestrzeni publicznej ma kontynuację we współczesnych badaniach humanistycznych i kulturowych, ukierunkowanych na postrzeganie relacji między człowiekiem a miejscem. Inicjatywy naukowe zajmujące się m.in. analizą form artystycznych w przestrzeniach miast europejskich odwoływały się do tego związku. Były to projekty: „Sztuka publiczna i architektura w nowych i regenerowanych zespołach miejskich Europy”; „Sztuka i katharsis – Pomniki Ofiarom II Wojny Światowej”; „Studium kształtowania współczesnego krajobrazu kulturowego Warszawy”; „Współczesna sztuka publiczna na otwartych przestrzeniach Anglii”, „Kultura artystyczna w procesach rewitalizacji miast europejskich”. Prof. Taborska przez wiele lat prowadziła w Anglii wykłady i seminaria z zakresu historii sztuki XIX i XX wieku oraz historii idei w Camberwell College of Art i Roehampton Institute of Higher Education, oraz sztuki rosyjskiej i radzieckiej na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wykładała także na ponad dwudziestu amerykańskich uniwersytetach, w tym na

Uniwersytecie Harvarda, City University of New York Graduate Center, San Francisco State University, University of Michigan at Ann Arbor, University of Milwaukee, State University of New York. Odwiedzała także uczelnie w Polsce, dzieląc się swoją wszechstronną wiedzą z polskimi studentami. Przez wiele lat wykładała na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie i od 2011-2017 była jego rektorem. Prof. Taborska jest autorką 10 publikacji książkowych i wielu artykułów naukowych.

Bolesław Taborski, ur. 1927 w Toruniu, zm. 2010 w Londynie. Był poetą, eseistą, tłumaczem, pisarzem teatralnym i profesorem w City University of New York Graduate Center. Lata okupacji niemieckiej podczas II Wojny Światowej spędził w Krakowie i Warszawie, a od 1943 był żołnierzem Armii Krajowej, Zgrupowania Pułku „Baszta”. Walczył w Powstaniu Warszawskim i został ranny, po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej. Po wyzwoleniu z obozu jenieckiego przeniósł się do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkał od 1946 roku. Studiował anglistykę i teatr na Uniwersytecie w Bristolu. W latach 1959-1993 był dziennikarzem radiowym Polskiej Sekcji BBC World Service w Londynie, gdzie napisał i wyemitował powieść radiową, wiadomości, przeglądy kulturalne i programy okolicznościowe, a przez wiele lat był producentem programu poświęconego kulturze i sztuce. Był autorem dwudziestu tomów poetyckich z lat 1957-2010, w tym anglojęzycznego tomu „For the Witnesses” („Dla świadków”) (1978). Napisał szereg książek o teatrze, m.in. „Nowy Teatr Elżbietański” (1967), „Byron and the Theatre” („Byron i teatr”) (1972), oraz dwie książki o Karolu Wojtyśle jako poecie i dramaturgu: „Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza” (1989) i „Wprost w moje serce uderza drogą wszystkich” (2005), a także wielokrotnie nagradzaną książkę o Powstaniu Warszawskim – „Moje powstanie wtedy i teraz” (1998). Zdobył szereg prestiżowych nagród literackich w Warszawie, Nowym Jorku, Genewie i Londynie. Nagrodę Jurzykowskiego (1968), Nagrodę Kościelskich (1977), Nagrodę Witkiewicza (1988), Nagrodę ZAIKS-u (1990, 1995), Nagrodę Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (1998), Nagrodę Wydawnictwa Książek Historycznych „Klio” (1998). Przetłumaczył na język angielski dramaty Karola Wojtyły (papieża Jana Pawła II), trzy książki Jana Kotta (w tym słynny „Szekspir współczesny”) oraz „Życie Majakowskiego” Wiktora Woroszyłskiego. Przetłumaczył na język polski dwadzieścia sztuk Harolda Pintera, powieść Grahama Greene’a oraz zbiory poezji Roberta Gravesa i Roberta Lowella. Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz PEN.

Anna Taborska to brytyjska reżyserka i pisarka horrorów. Napisała i wyreżyserowała dwa krótkie filmy fabularne, dwa filmy dokumentalne i nagrodzony dramat telewizyjny. Pracowała także przy dwudziestu innych filmach i brała udział w realizacji dwóch ważnych seriali telewizyjnych BBC: *Auschwitz: naziści i ostateczne rozwiązanie* oraz *II wojna światowa za zamkniętymi drzwiami – Stalin, naziści i Zachód*. Jej opowiadania ukazały się w ponad trzydziestu antologiach, a jej debiutancki zbiór opowiadań *For Those Who Dream Monsters* („Dla tych, którzy śnią potwory”), wydany przez Mortbury Press w 2013 roku, zdobył nagrodę Children of the Night przyznawaną przez Dracula Society i był nominowany do British Fantasy Award. Anna Taborska jest także autorką nominowanego do nagrody Stokera zbioru opowiadań *Bloody Britain*, który ukazał się w październiku 2020 r.

nakładem Shadow Publishing, a w 2023 r. zostanie wydany we włoskim tłumaczeniu przez
wydawnictwo Independent Legions.

Legenda Świętego Mikołaja

Rozmowa z prof. Leszkiem Berezowskim z Zakładu Translatoryki
w Instytucie Filologii Angielskiej na Uniwersytecie Wrocławskim.



Święty Mikołaj, fot. pixabay

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

Pierwowzorem dzisiejszego Św. Mikołaja, który zawładnął kulturą zachodnią, był Św. Mikołaj, biskup Miry w Licji, na terenie obecnej Turcji. Żył na przełomie III i IV w. naszej ery, a według średniowiecznych zapisów hagiograficznych zasłynął cudami i obdarowywaniem biednych podarkami. Przedstawiany jest jako starzec z brodą w infule i z pastorałem. Ile w tej postaci jest legendy, a ile prawdy historycznej?

Prof. Leszek Adam Berezowski:

Wiadomo, że istniał naprawdę, żył w mniej więcej w latach 270 – 340, pełnił urząd biskupa Miry, słynął z uczynków miłosierdzia i zmarł 6 grudnia. Więcej faktów z życia Św. Mikołaja się nie zachowało, bo nie był, niestety, wielkim pisarzem, czy wybitnym teologiem, o którym rozpisywaliby się kronikarze. Kilka szczegółów udało się jednak odtworzyć, np. komputerowa rekonstrukcja twarzy Św. Mikołaja przeprowadzona w roku 2014 przez badaczy z Uniwersytetu w Liverpoolu na podstawie kości zachowanych w krypcie bazyliki w Bari we Włoszech wykazała, że miał złamany nos, co może potwierdzać przekazy średniowiecznych żywotów, według których był on ofiarą prześladowań Chrześcijan zapoczątkowanych przez cesarza Dioklecjana.

Św. Mikołaj zmarł w opinii świętości i szybko stał się patronem żeglarzy, bo Mira była ważnym portem Cesarstwa Rzymskiego, a jednym z cudów łączonych ze Św. Mikołajem było uratowanie załogi tonącego statku. Tradycja związana z podarunkami pojawiała się później, tak jak wspomniany przez Panią strój Św. Mikołaja. Żył on w późnej starożytności, gdy oznaką godności biskupa nie była jeszcze ani infuła, ani pastorał. W te elementy stroju wyposażono Św. Mikołaja znacznie później, gdy stał się jednym z najpopularniejszych świętych europejskiego Średniowiecza. Ze stroju, jaki Św. Mikołaj najprawdopodobniej nosił jako biskup Miry zachował się tylko czerwony kolor szat.

Jak to się stało, że największe sanktuarium biskupa Miry jest w Bari, we Włoszech?



Posąg przedstawiający św. Mikołaja z Bari, biskupa Miry, fot. [wikimedia commons](#)

To efekt akcji przypominającej wyczyny Indiany Jonesa. Św. Mikołaj był bardzo popularnym świętym i do jego sanktuarium w Mirze pielgrzymowano z wielu miejscowości zachodniej części Cesarstwa Bizantyjskiego. Cesarstwo zaczęło się jednak kurczyć, przegrywając kolejne wojny z nacierającymi od wschodu armiami arabskimi, które coraz bardziej zbliżały się do Miry i zagrażały sanktuarium. W takiej sytuacji kupcy z Bari, które dziś leży na południu Włoch, ale wtedy znajdowało się w zachodniej, a więc bezpiecznej części Cesarstwa Bizantyjskiego, zorganizowali

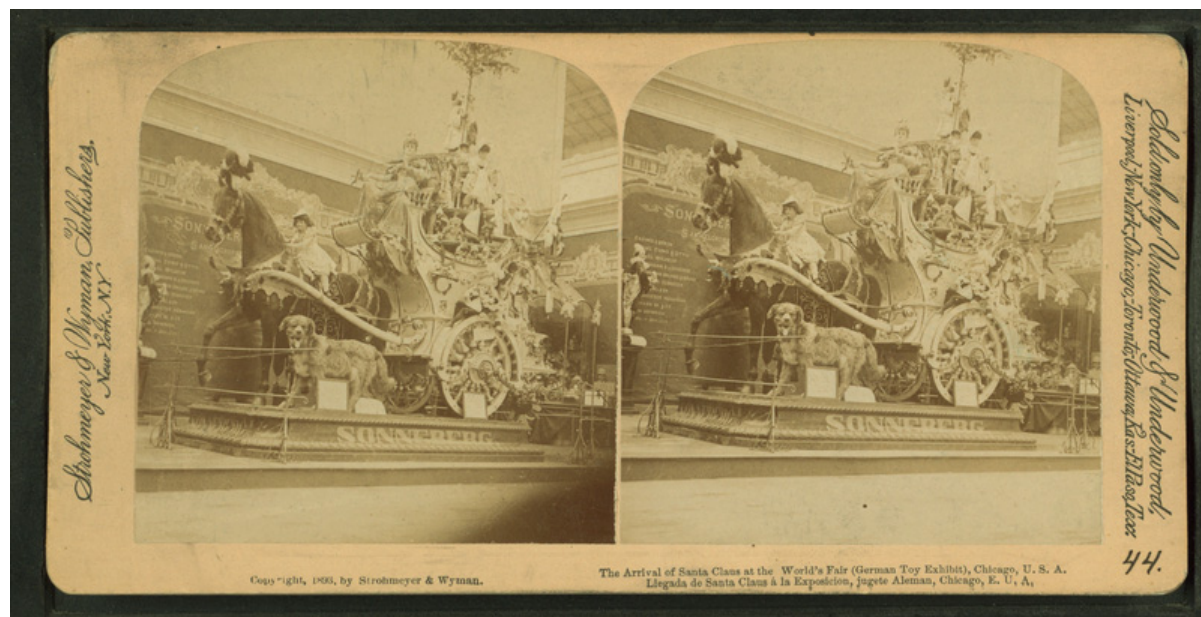
wyprawę ratunkową. Udając zwykłą podróż handlową, wpłynęli do portu w Mirze, obezwładnili dwójkę mnichów, którzy strzegli sanktuarium Św. Mikołaja, rozbili płytę nagrobną, w pośpiechu zebrali największe kości i biegiem wrócili do portu, żeby uniknąć pościgu mieszkańców.

Ciąg dalszy też był pełen wydarzeń – po powrocie kupców do Bari 9 maja 1087 roku szybko zbudowano kryptę, w której po dziś dzień spoczywają relikwie Św. Mikołaja, ale zanim zabrano się za budowę bazyliki, z pielgrzymką do relikwii przybył ówczesny Papież Urban II. Aż dziw, że nikt na ten temat jeszcze nie nakręcił filmu!

Jakie były dalsze losy legendy biskupa?

Bari było portem, przez który przewijały się liczne rzesze pielgrzymów udających się statkami do Ziemi Świętej. W bazylice prosili Św. Mikołaja o wsparcie w niebezpiecznej podróży, bo był przecież patronem żeglarzy, a po powrocie do domu wspominali, jak wiele zawdzięczali jego opiece. Św. Mikołaj zyskał bardzo dużą popularność, wznoszono liczne kościoły pod jego wezwaniem, jego imieniem nazywano miasta i ulice, a hagiografowie rozpisywali się o cudach za jego wstawiennictwem. Powstawały też nowe żywoty Św. Mikołaja, a nawet szkolne sztuki teatralne na jego temat. Pisarzy europejskiego Średniowiecza najbardziej zafrapowała jednak nie

opieka Św. Mikołaja nad żeglarzami, ale opowieść, w której biednemu ojcu trzech córek przekazał potajemnie pieniądze na posagi, aby mogły wyjść za mąż. Zaczęto szczególnie podkreślać szczodroблиwość Św. Mikołaja i z czasem stał się dostawcą drobnych prezentów dla dzieci.



Przybycie Świętego Mikołaja, Wystawa Światowa, Chicago, 1893 r., (niemiecka wystawa zabawek), wyd. Strohmeier & Wyman, Nowy Jork 1893 r., fot. wikimedia commons

Czy legenda biskupa Miry trafiła do USA?

Do USA Św. Mikołaj nie dotarł, bo założycielami angielskich kolonii w Ameryce Północnej byli w głównej mierze Protestanci, którzy nie uznawali kultu świętych. W USA pojawił się natomiast sobowtór Św. Mikołaja, którego stworzył Washington Irving. 6 grudnia 1809 r. opublikował on satyryczną historię Nowego Jorku, w której występuje bohater o imieniu Św. Mikołaj. Według

Irvinga latał on po niebie wozem drabiniastym, ubrany był w ogrodniczki, na głowie miał kapelusz, palił fajkę i doradzał jednemu z bohaterów w sprawie inwestycji na Manhattanie, który wtedy był jeszcze terenem rolniczym. Umieszczenie Św. Mikołaja w zabawnej historii Nowego Jorku było jak najbardziej uzasadnione, bo założyli go Holendrzy z Amsterdamu, a patronem tego miasta, jak przystało na duży port, jest Św. Mikołaj. W oparciu o ten fakt Irving stworzył jednak postać literacką, która miała być śmieszna i tak nierealna, jak katoliccy święci w oczach jego protestanckich czytelników. Ze Św. Mikołajem łączyło ją tylko imię, ale i to się szybko zmieniło.

Kiedy zatem przeobraził się w Santa Clausa - miłego, starszego, okrągłego pana z siwą brodą, w czerwonym ubraniu, jadącym saniami zaprzężonymi w renifery, żeby wręczyć dzieciom prezenty?

Za przemianę odpowiada Clement Clark Moore, który napisał wiersz bez tytułu zaczynający się od słów *'Twas the night before Christmas*. Moore był wykładowcą seminarium, dobrze więc wiedział, że burząc kult świętych Luter długo wahał się, co zrobić ze Św. Mikołajem, bo uświadomił sobie, że jego dzieci nie będą dostawały w grudniu prezentów. W końcu wymyślił, że w Boże Narodzenie przynosi je Dzieciątko Jezus, ale takie rozwiązanie uznawane było tylko w kręgach luterańskich, a bardziej radyklani Protestanci je odrzucali. Moore zdecydował

się jednak sięgnąć do tego pomysłu i powiązał sobowtóra Św. Mikołaja stworzonego przez Irvinga z Bożym Narodzeniem. Uznał tę postać za elfa, przebrał w strój dopasowany do zimowej pogody, latający wóz zastąpił saniami, zamiast koni wprowadził do wiersza renifery i tak powstała znana postać Santa Clausa, choć Moore posługiwał się jeszcze imieniem Św. Mikołaj.



Zabytkowa ilustracja przedstawiająca Świętego Mikołaja jadącego saniami zaprzężonymi w renifery. Mikołaj został tu po raz pierwszy tak przedstawiony. Ilustracja ukazała się w

publikacji Clementa C. Moore'a (1779-1863), wyd. Charles E. Graham & Co. ok. 1870 r., fot. wikimedia commons

Dzieci na całym świecie wierzą, że prawdziwy Święty Mikołaj mieszka w Laponii. Skąd tam się wziął?

To sukces fińskiego marketingu świątecznego. Wszystko zaczęło się od tego, że w roku 1944, w czasie działań wojennych, miasto Rovaniemi doszczętnie spłonęło. Powojenną odbudowę finansowało między innymi ONZ, w którym USA reprezentowała A. E. Roosevelt, wdowa po prezydencie F. D. Rooseveltcie. Wdzięczni Finowie postanowili ją uhonorować, zaprosili do Rovaniemi i wybudowali na tę okazję sporą willę dokładnie na kole podbiegunowym. Wizyta się odbyła, willa się przydała, ale przez kolejne lata zastanawiano się co z tym budynkiem zrobić. Najpierw utworzono w nim centrum promujące turystykę w fińskiej Arktyce, ale odwiedzających było niewiele, więc je przeprofilowano. Pomysłodawcy skorzystali z tego, że w okolicach Rovaniemi hoduje się tysiące reniferów i sięgnęli po Santa Causa, który też nie może się bez nich obyć. Wokół willi postawiono więc kolejne budynki i całość nazwano Santa Claus Village.



Wioska Świętego Mikołaja w Rovaniemi w Finlandii, fot.

<https://www.ourlapland.fi/>

Pomysł jest więc stosunkowo świeży i nie jedyny. Duńczycy upierają się, że Santa Claus mieszka na Grenlandii, a amerykański poeta G. Webster już w roku 1866 ustalił, że Santa Claus ma siedzibę na Biegunie Północnym. Finowie są jednak najbardziej marketingowo elastyczni, bo dla turystów z krajów katolickich reklamują swoje centrum jako siedzibę Św. Mikołaja i oferują przejażdżki na saniach ciągnionych przez renifery również 6 grudnia.

W „Encyklopedii Staropolskiej” Zygmunt Gloger podaje, że w dawnej Polsce w „domach zamożniejszych panie rozdawały (w Wigilię) *kołędę*, czyli podarki dla czeladzi i dobrze prowadzącym się dziewczętom ze wsi”. Kiedy Św. Mikołaj trafił do Polski?

Jako święty Mikołaj trafił do Polski w Średniowieczu i szybko

zyskał olbrzymią popularność. Stał się patronem licznych kościołów, ulic i miast, a jego imię nadano np. Kopernikowi czy Rejowi. Zwyczaj rozdawania dzieciom prezentów w jego imieniu na dobre zakorzenił się jednak dopiero w wieku XVIII, kiedy to ks. Maciej Frączkiewicz zapisał w kazaniu z roku 1748: *Rodzice na pamiątkę szczodrobliwości Św. Mikołaja, zwykli co rok na wigilie święta jego dziatkom swoim śpiącym różne podarunki zawiązywać i podrzucać, powiadając to, że im to Św. Mikołaj przyniósł.*

W czasach PRL-u, Św. Mikołaj przychodził do dzieci 6 grudnia, zostawiał w wyczyszczonych, równo ustawionych przy łóżku butach, słodycze i pomarańcze (które właśnie „rzucono” do sklepów) i zabierał listy w sprawie prezentów pod choinkę. Potem przychodził drugi raz, w Wigilię. Jakże źródło mają te różne daty wręczania podarków.

Wizyta św. Mikołaja w wigilię jego święta, czyli 5 grudnia wieczorem, albo następnego dnia, to bezpośrednia kontynuacja tradycji średniowiecznej, która nie została zniweczona przez Reformację i dobrze zachowała się np. w Polsce, południowych Niemczech, Austrii czy Holandii. Prezenty w Wigilię Bożego Narodzenia to koncepcja Lutra, o której już wspominałem. Przywędrowała do Polski razem z choinką, która też ma rodowód niemiecki i dobrze się przyjęła, choć nauczanie Lutra, że prezenty w ten dzień przynosi Dzieciątko Jezus zakorzeniło się

tylko na Śląsku. W pozostałych częściach Polski panuje w tej sprawie niejasność – prezenty przynoszą tam np. Aniołek, Gwiazdor lub Mikołaj.



Ta reklama z hasłem „Pauza, która odświeża”, po raz pierwszy pojawiła się w reklamach Coca-Coli w 1929 roku, fot. National Museum of American History

Czy Gwiazdor, a także pojawiający się w pewnym okresie Dziadek Mróz też mają swój pierwowzór w biskupie Miry?

Gwiazdor przynosi prezenty w Wielkopolsce i na Kaszubach, a więc w północnej części dawnego Zaboru Pruskiego, ponieważ postać ta wywodzi się od niemieckiego określenia *Sternsinger*, oznaczającego kolędnika, który trzymał nad głową słomianą gwiazdę. Natomiast Dziadek Mróz, jak mam nadzieję, nikomu już prezentów w Polsce nie przynosi, bo to postać dosyć złowieszcza. Wymyślił go rosyjski dramatopisarz A. Ostrowski w roku 1870 jako dziadka głównej bohaterki sztuki *Śnieżynka* i w latach kolejnych powoli promowano go na doręczyciela bożonarodzeniowych prezentów. Do Rosji, tak jak do Polski, dotarł bowiem wtedy niemiecki zwyczaj ubierania choinek, ale prezentów nie mógł dostarczać Św. Mikołaj, ponieważ w Prawosławiu nie jest on opiekunem dzieci, ale cudotwórcą i patronem Moskwy.

Na pierwszy rzut oka tak pomyślana postać Dziadka Mroza może się wydawać niegroźna i kojarzyć z rosyjską odpowiedzią na amerykańskiego Santa Clausa, ale tak nie jest. W roku 1928 władze sowieckie zakazały świętowania Bożego Narodzenia i tym samym unicestwiły Dziadka Moroza, ale siedem lat później, w roku 1935 nieoczekiwanie ogłoszono zmianę kursu. Przewrócono Dziadka Mroza do życia i nakazano świętowanie z nim Nowego Roku. Gdy więc Polska oraz inne kraje znalazły się za żelazną kurtyną, takiego sowieckiego Dziadka Moroza zaczęto promować jako prawdziwego dostarczyciela prezentów, który za jednym zamachem miał wyrugować zarówno Św. Mikołaja, jak i Boże

Narodzenie. Na szczęście ludzie nie dali sobie tego wmówić i kampania się nie powiodła, a Dziadek Mróz zaczął się kojarzyć nie tyle z prezentami, co z rusyfikacją.

Obecnie tradycja Św. Mikołaja została zawładnięta przez komercję. Wielkie firmy posługują się wizerunkiem Santa Clausa dla zwiększenia swoich obrotów. Zatracił się pierwotny cel, w pogoni za prezentami, często niepotrzebnymi, zapomina się o dobrych uczynkach i uczuciach okazywanych bliskim. Jak odnaleźć prawdziwego Świętego Mikołaja?

W dzisiejszych czasach jest to mocno utrudnione przez wszechobecną komercję, ale, moim zdaniem, jest proste wyjście. Św. Mikołaj był cudotwórcą, dobroczyńcą, ale przede wszystkim był Chrześcijaninem. Aby odnaleźć prawdziwego Św. Mikołaja trzeba więc sięgnąć do tych samych źródeł, z których on czerpał, a więc do wiary przekazywanej przez Nowy Testament. Ponieważ w USA i Kanadzie Santa Claus przybywa w Boże Narodzenie, do takiej okazji najlepiej pasują opisy Zwiastowania i Narodzenia zawarte w początkowych rozdziałach Ewangelii św. Mateusza i św. Łukasza. Zapraszam do lektury i życzę Wesołych Świąt!

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka

Prof. dr hab. Leszek Adam Berezowski: językoznawca i tłumacz z wieloletnim doświadczeniem zawodowym. Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, założyciel i kierownik Podyplomowego Studium Przekładu, a w latach 1999-2000 visiting professor w Central Michigan University (USA).

„Znowu idą Święta”

Świąteczna rozmowa z Kabaretem OT.TO

*



Kabaret OT.TO, fot. Agnieszka Paszyńska

Nikt chyba nie przypuszczał, że po ponad dwudziestu latach Ci trzej: **Wiesław Tupaczewski, Andrzej Tomanek i Ryszard Makowski** znów staną wspólnie na scenie oraz, by razem będą pracować w studio nagraniowym. A jednak zgotowali swoim fanom mikołajowo-świąteczny prezent artystyczny!

*

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz (*Wielka Brytania*):

“Znowu idą Święta” - 18 listopada 2022 roku swoją premierę miał singiel promujący całą świąteczną płytę

Kabaretu OT.TO. Jakie przesłanie niesie ten utwór?

OT.TO:

Zaczęliśmy od tego utworu, bo jego tekst dotyczy najpierw listopada: „Choć dopiero jest listopad to nie będzie żadnym *faux pas*, by prezenty kupić już”. Następnie tekstowo przechodzimy przez Black Friday do samych Świąt. Jest to taka uniwersalna piosenka przedświąteczna, która ma nas powoli wprowadzić w bożonarodzeniowy nastrój i przypomnieć normalne Święta. Ostatnie lata, niestety, odciskały swoje piętno także na nich.

Czy wspólne spotkanie trzech członków grupy zapowiada jedynie okazjonalny, wspólny krążek “Wesołych Świąt”, czy też wracacie na scenę?

Trudno mówić o spotkaniu okazjonalnym. Praca nad tym wydawnictwem trwała już w marcu i kwietniu tego roku, kiedy to postanowiliśmy napisać nowe piosenki. Potem były aranżowane przez Wojciecha Kostrzewę, a następnie miały miejsce próby z Chopin University Big Band, który prowadził Piotr Kostrzewa, tata Wojtka. Kolejny etap stanowiły nagrania w studiach Polskiego Radia realizowane przez Rafała Paczkowskiego. Teraz trwa intensywna promocja płyty. Powstała również wersja telewizyjna tych piosenek dla TVP. Poza tym w czerwcu wystąpiliśmy na Festiwalu w Opolu. Trudno mówić o powrocie,

bo kabaret OT.TO, pomimo dwudziestojednoletniej absencji Ryśka, działał. Po jego powrocie można mówić o nowym otwarciu. (uśmiech!)

Jak doszło do tej ponownej współpracy, na którą ogromnie cieszą się sympatycy Kabaretu?

Pod koniec 2021 roku doszło do spotkania Wieśka i Ryśka. Po tej rozmowie okazało się, że dawne więzy nie zerwały się całkiem i postanowiliśmy wrócić do działań, które dały nam popularność w latach dziewięćdziesiątych. Niestety Andrzej Piekarczyk, który już wcześniej zapowiedział, że chce skończyć działalność estradową, nie dał się przekonać do tej nowej (choć starej) formuły, ale być może pewnego dnia zechce wrócić i tak jak czekało miejsce na Ryśka, czeka i na niego.

Pomimo swego rodzaju przerwy w Waszej współpracy fenomen OT.TO trwa. W ostatnim rankingu "Plejady" zajęliście piąte miejsce, pomimo braku czynnej aktywności na scenie jako grupa.

Jak już wspomnieliśmy, Kabaret OT.TO nigdy nie zaprzestał działalności. Może ostatnio był trochę mniej aktywny medialnie, także z powodu pandemii, ale wszystkie lata aktywności zostały wzięte pod uwagę w tym rankingu i, jak się tam dobrze przyjrzyć, można mówić nawet o czwartym miejscu.

Jak sądzicie, co decyduje o takim sukcesie OT.TO? Nie chcę niczego sugerować, ale myślę, że na tle innych kabaretów z lat 90. coś zdecydowanie Was wyróżniało i nie zgubiliście tego po dziś dzień?

Naszym wzorem były kabarety z dwudziestolecia międzywojennego, mieliśmy nawet składankę piosenek z tamtego okresu, jak i wspaniałe kabarety z PRL-u, bo to paradoksalnie był dobry czas dla satyry. Zaczynaliśmy zresztą na początku pięćdziesiątych lat u Janka Pietrzaka w Egidzie. Natomiast stworzyliśmy własny styl, bo czasem nam było nawet bliżej do rewelersów, niż do kabaretu typowo skeczowego. Podczas pracy nad płytą *Wesołych Świąt* poczuliśmy wręcz młodzieńczą energię, która nas niosła na początku działalności.



Kabaret OT.TO, fot. Agnieszka Paszyńska

Plany OT.TO? Co, gdzie, kiedy i... dlaczego? (uśmiech!)

Po pierwsze udało nam się odkupić nasz katalog, dziesięć płyt, z dziewięćdziesiątych lat od firmy, która je posiadała i będziemy czynić starania, żeby nasze nagrania zaistniały ponownie.

Oczywiście także w Internecie. Chcemy też opracować materiały video z tamtych lat. Wiele osób nas jeszcze pamięta, ale wyrosło już nowe pokolenie, które za dobrze nie zna OT.TO. Chcemy zadbać o nasz dość pokaźny dorobek. Współpraca z Big Bandem okazała się na tyle owocna, że zamierzamy ją kontynuować i nagrać pogodną, rytmiczną płytę na lato. Poza tym będziemy realizować programy telewizyjne i radiowe, a także nie

zapomnimy o scenie, bo spotkania z widzami to niezwykle przyjemny aspekt naszej profesji.

Dziękuję bardzo za rozmowę i życzę Wesołych Świąt!

rozmawiała: Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

*

„Znowu idą Świąta” - najnowszy singiel Kabaretu OT.TO



Powrót Norwida

Rozmowa z Markiem Proboszem, aktorem i reżyserem monodramu Kazimierza Brauna, nagrodzonego w listopadzie 2022 r. podczas Festiwalu United Solo w Nowym Jorku nagrodą BEST NEW YORK PREMIERE.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, Festiwal NNW w Gdyni, fot. arch. M. Probosza

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

Monodram napisany przez prof. Kazimierza Brauna pt. "Powrót Norwida" powstał w pandemii. Jak pracuje się w izolacji, reżyserując samego siebie?

Marek Probosz (*Santa Monica, Kalifornia*):

Bezludna wyspa zmusza do stworzenia świata wyobraźni, wysiłków, w których pojawiają się duchy tych, którzy tu byli przed nami i nie mieli łatwiejszej drogi. Norwid przyszedł do mnie właśnie tak, z westchnień, z mocy samotności, z ciszy i skupienia, z szeptów fal oceanu, nad którym przechadzałem się co dzień, rozmawiając z nim, wsłuchując się w jego myśli, sens istnienia, bicie serca i w cały wszechświat. Kto kogo reżyserował? On mnie, czy ja jego? Nie wiem. Było nas dwóch.

Akcja sztuki Kazimierza Brauna dzieje się w przytułku w Paryżu - w Zakładzie św. Kazimierza, gdzie Norwid zamieszkał w 1877 r. W pustej celi rozgrywa się dramat emigranta, Polaka i artysty, opuszczonego, niezrozumiałego. Czy to samo miejsce jest przestrzenią Twojego spektaklu?

Akcja mojego monodramu zaczyna się w metropolii XXI wieku, mój Norwid jest współczesny, obdarty, bezdomny. Jawi się jako

pielgrzym z worem na plecach. Wkracza na scenę, jakby przed chwilą ktoś przegnał go spod mostu w Nowym Jorku czy w Los Angeles. Psy wciąż za nim ujadają, jedynym bezpiecznym schronieniem jest arkusz czystego papieru pośrodku sceny, to jego wewnętrzna przestrzeń, tam przez 90 minut spektaklu pisze pamiętnik artysty...

Ogryzmołony i w sobie pochylon –

Obłądny!... ależ jakże rzeczywisty!

Czym jeszcze różni się Twój monodram od pierwowzoru ?

Kazimierz Braun przysłał mi wspaniały scenariusz, który liczył 35 stron. Nogi mi się ugięły. Wiem ile to pracy. Po kilku miesiącach ściałem go do 18-tu stron, które były kwintesencją mojego stanu ducha. Usłyszałem swój głos, szloch i zachwyt. To minimalistyczny dialog aktora i pianistki, słowa i muzyki. Norwid pulsuje emocją i myślą w dźwiękowej rzeczywistości. Kostium, scenografia, rekwizyty, język ciała i aktorska interpretacja są dzisiejsze. Jak powiedziałem, nie stylizuję paryskiego przytułku z 1877 r., kreuję 2022 rok!

Scena ograniczona jest prostokątem białego papieru, który reprezentuje duchową i materialną rzeczywistość bohatera. To

skrawek bezdomnego świata emigranta, stan jego umysłu. W świecie skrajnych napięć, buntu i żarliwej intelektualnej polemiki, papier jest szarpany, zapisywany i rwany na strzępy. Widza czekają wielkie emocje i niespodzianki.

Czesław Miłosz, laureat literackiego Nobla z 1980 r. napisał: *To wielka literatura, w której powiedziane zostało wszystko, co wciąż jest dla nas najistotniejsze. To, co Norwid mówił na każdy temat w XIX wieku, pozostaje aktualne w wieku XXI.*



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, Żory, fot. Ireneusz Stajer

Co w tym tekście Ciebie najbardziej porusza?

Zona powtarza mi – To twój autobiograficzny monodram. Ma rację, na scenie aktor głosi przed ludźmi nie swoje słowa. Ja swoje słowa głoszę! Po amerykańskiej premierze krytyk w Nowym Jorku napisał: Ci, którym udało się dostać na widowie Theater Row, byli pod wielkim wrażeniem tego, co zobaczyli. A w rzeczywistości mieli wrażenie, że widzą zmartwychwstałego Cypriana Kamila Norwida, który jak „feniks z popiołów” powrócił i zabłysnął niczym „gwiazdzisty dyjament!”

Miesiącami wczytywałem się w genialnego Norwida, jego bezkompromisowość w walce o wyznawane idee, wrażliwość i wizjonerstwo przyciągały mnie jak kosmiczny magnez, poruszały do krwawych łez. Jego życie i twórczość to wstrząsające dzieło!

Słuchając spowiedzi Norwida widz nie tylko ma okazję zapoznać się z tekstem poety, ale przejść przez różne etapy w jego życiu i zmierzyć się z wieloma ideami. Dowiaduje się co to jest ojczyzna, naród, kraj, patriotyzm, jak boli odrzucenie przez swoich i co się dzieje, gdy *Ideał sięgnie bruku*. Czy Norwid, którego pokazujesz w monodramie nie jest za trudny dla amerykańskiego widza, który niewiele wie o Polsce, zaborach i walce o tę wolność?

Ja ten ideał z bruku podniosłem. Wyrwałem z zapomnienia – porzucenia i przywróciłem dzisiejszemu widzowi chcąc go zachwycić i przerazić. Mój Norwid to przeszłość i teraźniejszość

splecione w jedno. Dokonuje bolesnych rozliczeń: z miłością odrzuconą, społeczeństwem i krytyką, które wyszydziły jego twórczość za "zawiłość", a nawet "genialną samobójczość", z uznaniem go za wygnańca przez rosyjski carat, który odciął mu powrót do ojczyzny.

Pytasz dlaczego z kraju wyjechałem? Wyjechałem bo artysta musi być wolny, aby tworzyć. Wyjechałem z kraju zniewolonego.

Słowa Norwida dotyczą nie tylko mnie, ale kolejnych pokoleń odradzającej się nieustannie emigracji, dotyczą wielu narodów, które znalazły schronienie w Ameryce. Los Norwida jest zrozumiały dzisiaj bo dotyka wartości uniwersalnych. Jego moralna koncepcja świata, wierność ideałom prawdy-dobra-piękna, zaprzeczają powszechnie panoszącej się zdradzie, nienawiści, sprzedajności i nihilizmowi. Jego odczuwanie obecności Boga, miłości jako jedynej wartości, która naprawdę istnieje i w którą warto wierzyć, jego tęsknota za rajem utraconym, dotyczy nas wszystkich, odrzucenie i wygnanie boli tak samo małych, jak i wielkich...

„*Jękły głuche kamienie na broadwayowskiej scenie*” – taki tytuł nosiła jedna z recenzji (autorem tytułu jest Stan Borys, przyp.

red.). – Otóż można było odnieść wrażenie, że na scenie nie widzimy aktora, tylko prawdziwego Cypriana Kamila Norwida. Marek Probosz tak wczuł się w rolę, że sprawiał wrażenie, że w jego ciało wstąpił duch polskiego wieszczu i to on recytuje swoją poezję oraz opowiada o swoim ciężkim i tułaczym życiu – pisał krytyk Wojciech Maślanka.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, przy fortepianie Anna von Urbans, próba w Santa Monica, fot. Clarissa Koenig



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”,
próba w Santa Monica, fot. Clarissa Koenig

Przed wyruszeniem z Norwidem na sceny Polski i Nowego Jorku,
zrobiłem eksperyment. Zaprosiłem trzech Amerykanów nie
znających słowa po polsku, na próbę generalną w Santa Monica.
Po zakończeniu podeszli do mnie zapłakani, z gęsią skórą na
całym ciele mówiąc – *Coś ty z nami zrobił, skoro mamy taką
reakcję nie rozumiejąc języka?* Mieli jedną prośbę, abym
stworzył napisy angielskie, bo wstrząśnięta publiczność będzie
chciała poznać intelektualną przyczynę tak wielkich emocji.
Posłuchałem ich rady. Na Festiwalu UNITED SOLO miałem
napisy, *katharsis* się powtórzył, polały się świeże łzy, ale one były
już dla wszystkich zrozumiałe!

Norwid ponad 30 lat żył na emigracji. Czy samemu trzeba być emigrantem, żeby zrozumieć emigranta?

Absolutnie tak! Los emigranta może zrozumieć tylko emigrant. Nie można zaświadczać o prawdzie, której się nie przeżyło. Należę do pokolenia emigrantów z czasów przed upadkiem berlińskiego muru i dostępem do Internetu, czasów kiedy kupowało się bilet w jedną stronę, a za swój wybór wolności płaciło się najwyższą cenę. Jestem w Ameryce 35 lat, moje sceniczne słowa to moje życie, poznałem co to koniec świata i nieznany szyfr nowego losu.

Bóg jeden wie ile krzywdy i nędzy bierze się z nieuznania tej części społeczeństwa polskiego, którą jest Emigracja. Nieuznania, nie czynienia nic, aby ją przywrócić krajowi. Jakbyśmy już do niczego krajowi nie byli potrzebni.



"To wielka literatura, w której powiedziane zostało wszystko,
co wciąż jest dla nas najistotniejsze. To, co Norwid mówił
na każdy temat w XIX wieku, pozostaje aktualne w wieku XXI"

- Czesław Miłosz, laureat literackiego Nobla 1980 r.

TEATR MARKA PROBOSZA
PRZEDSTAWIA

POWRÓT NORWIDA

Napisał na podstawie twórczości
Cypriana Norwida

Kazimierz Braun

Wykonanie i reżyseria
Opracowanie muzyczne i akompaniament

AMERYKAŃSKA PREMIERA
13. FESTIWAL UNITED SOLO,
13.11.2022, 3:30 PM, Nowy York

ŚWIATOWA PRAPREMIERA
Z OKAZJĄ 15. FESTIWALU
"POLA I INNI",
LIPNO, 22.09.2022 r. godz. 18.30
Miejskie Centrum Kulturalne
w Lipnie, ul. Piłsudskiego 22

WSTĘP WOLNY

Marek Probosz
Anna von Urbans



Województwo
Kujawsko-Pomorskie

Dofinansowane z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Zapowiedź „Powrotu Norwida” w Lipnie

Monodram miał swoją prapremierę w Polsce, w Lipnie, miejscu urodzin Poli Negri, podczas 15 Festiwalu „Pola i inni”. Otrzymałeś tam statuetkę POLITKĘ 2022, a na bulwarze gwiazd odsłonięto Twoją tablicę. Jakie wrażenie zrobił monodram na miłośnikach kina niemego?

Zdecydowałem, że miejsce narodzin naszej największej gwiazdy Hollywood jest najwłaściwsze dla narodzin „Powrotu Norwida”. To był Złoty Tydzień, celebrowano sztukę niemego kina: poprowadziłem konkurs na Polę Negri 2022. Z 8 kandydatek, które przygotowały nieme sceny aktorskie z filmów naszej gwiazdy, wybrałem młodą utalentowaną dziewczynę z Włocławka.



Marek Probosz z POLITKĄ 2022 w Lipnie, fot. arch. M. Probosza



Marek Probosz jako Charlie Chaplin przy swojej tablicy na bulwarze gwiazd w Lipnie, fot. arch. M. Probosza

*

W kolejne dni odbyły się pokazy moich filmów: "Niech cię odleci mara" Andrzeja Barańskiego, "Kocham kino" Piotra Łazarkiewicza i "Śmierć rotmistrza Pileckiego" Ryszarda Bugajskiego. Ale wisienką na torcie była prapremiera "Powrotu Norwida", na którą nie tylko przyleciała ze mną znakomita

pianistka i moja akompaniorka z Los Angeles, Anna von Urbans, ale również specjalnie dla niej organizatorzy festiwalu sprowadzili fortepian z Warszawy! Jak Atlas trzymający na ramionach ziemię poczułem, że nie mogę tutaj Norwida roztrzaskać o ziemię, ja muszę go uwydatnić, przywrócić krajowi w natchnieniu i z miłością. Właśnie te dwa uczucia i napięcie towarzyszyły mi podczas prapremiery.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba

Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla darów Nieba...

Tęskno mi, Panie...

W roku Poli Negri i miejscu jej urodzin, w 125-tą rocznicę jej przyścia na świat, po prawie 200-tu latach, Norwid powrócił i jak huragan zerwał ludzi do owacji na stojaco. Recenzja grzmiała: *Poruszająca, magnetyzująca gra Marka Probosza będącego nie tylko twórcą i odtwórcą, ale samym Norwidem. Szwadrony ciar na ciele. Udźwig tego monodramu to mistrzostwo. Całe spektrum emocji i kalejdoskop reżysersko – aktorskich środków wyrazu. Przejmujące i WSPÓŁCZESNE do bólu!*

W Polsce występowałeś jeszcze podczas Festiwalu NNW w Gdyni.

Wprost z Lipna pojechałem do Gdyni, gdzie byłem jurorem międzynarodowego konkursu filmów fabularnych na Festiwalu NNW. Pracowałem z grupą wybitnych kolegów, przewodniczącą była znana amerykańska reżyserka Martha Coolidge, pozostałymi jurorami byli węgierski reżyser Denes Nagi i operator filmowy Adam Sikora. Po obejrzeniu 16-tu światowych produkcji główną nagrodę przydzieliliśmy jednogłośnie wstrząsającemu angielsko-amerykańskiemu filmowi "Mauretańczyk" w reżyseri Kevina MacDonald'a. W Gdyni miałem również spotkanie autorskie z publicznością oraz pokaz monodramu "Powrót Norwida" w Teatrze Muzycznym.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”,
przy fortepianie Anna von Urbans, Festiwal NNW w Gdyni, fot.
Andrzej Wyróżębski



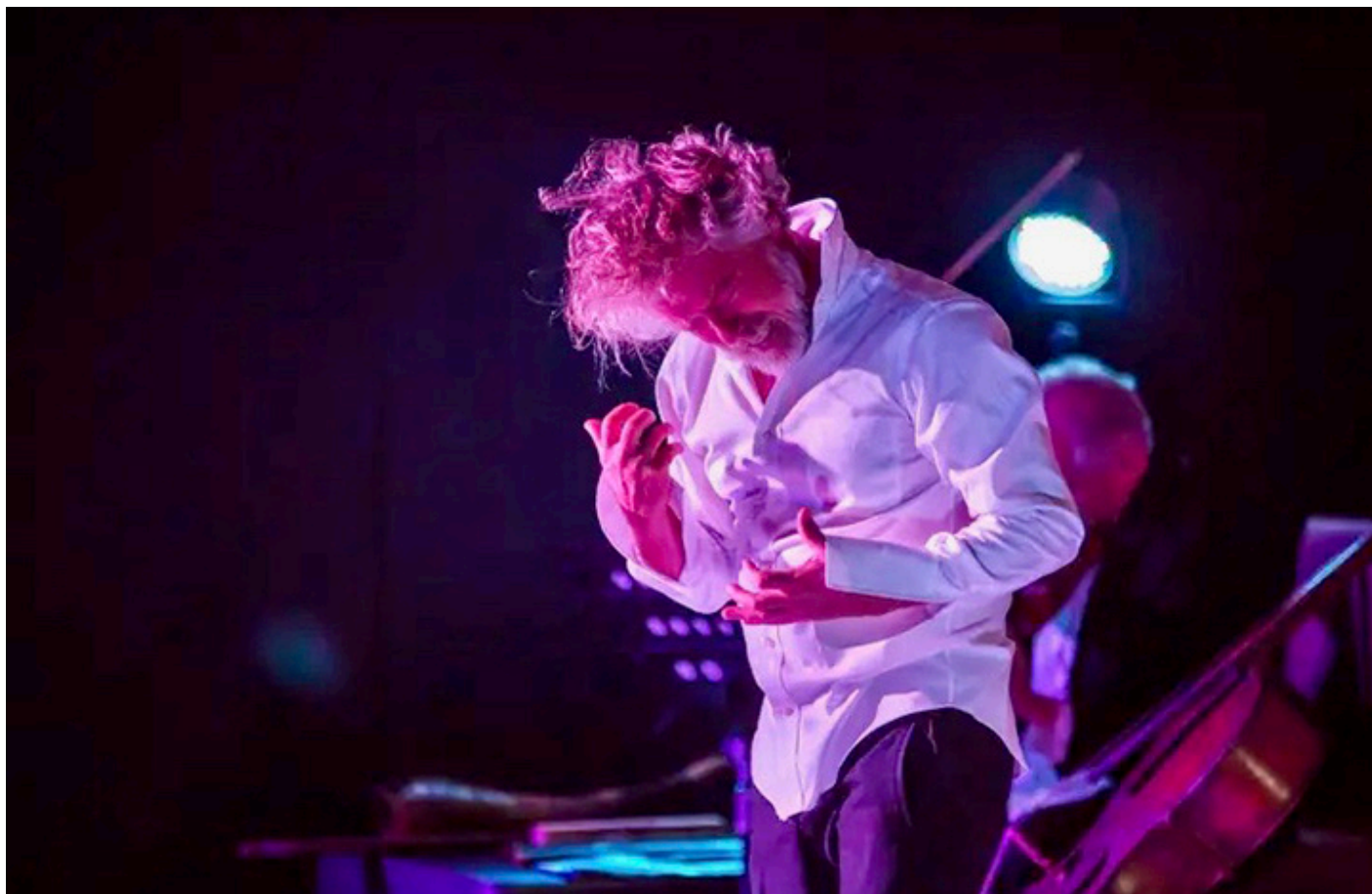
Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, przy fortepianie Anna von Urbans, Festiwal NNW w Gdyni, fot. arch. M. Probosza

Podczas Gali zakończenia festiwalu NNW wręczyłem główną filmową nagrodę i wystąpiłem w części artystycznej prezentując norwidowski „Fortepian Chopina”. Każde z tych wydarzeń było czymś nadzwyczajnym. Bo Norwid po raz kolejny odnalazł szczęście w sercach owacyjnie przyjmującej go publiczności. Jakże Oni są go spragnieni, pomyślałem. Jakże ważny jest „Powrót Norwida” tu i teraz. Zachwyca i zapiera dech w piersiach. Jego słowa i myśli jak strugi deszczu spływają rześkim,

oczyszczającym strumieniem do ludzkich serc bez względu na ich wiek i pochodzenie... *Albowiem granicami narodów, granic pozbawionych są serca i charaktery ludzi!*

Występowałeś również w rodzinnej Istebnej i w Żorach na Śląsku, gdzie się urodziłeś.

Żona powiedziała mi – *Twoja 88-letnia mama nie mogła przyjechać do Lipna ani do Gdyni, masz więc moralny obowiązek ty do niej pojechać. Powrócić do swoich gór z Norwidem. Oboje wiedzieliśmy, mama Franciszka miała sen, że siedziała w pierwszym rzędzie w teatrze i oglądała mnie na scenie, swojego “Norwidka”. Musiałem spełnić matczyne marzenie, zagrać dla niej w Kurorcie Żłoty Groń w Istebnej. Tam skąd widok rozpościera się na całą koronę naszych beskidzkich groni. Stał się cud! Już nie z pianistką i fortepianem, ale z wirtuozem ludowych instrumentów, Zbyszkim Wałachem, który mi akompaniował, stworzyliśmy niezapomniane widowisko. I znów zachwyty, świetne recenzje, stojące owacje, tylko że tym razem wszyscy byli również świadkami spełnionego marzenia mojej kochanej matki. Kiedy podzieliłem się po spektaklu ze sceny z publicznością tą wiadomością i zaprosiłem mamę na scenę oraz wręczyłem jej kwiaty, owacjom i łzom nie było końca.*



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”,
Istebna, fot. Michał Kuźma



Marek Probosz po spektaklu z Mamą, Istebna, fot. Michał Kuźma

Z Istebnej pojechaliśmy do Żor, które świętowały 750-lecie nadania praw miejskich. Ze sceny w Miejskim Domu Kultury, gdzie w 1967 roku zagrałem w Teatrzyku Baśni swoją pierwszą rolę Błazna w “Księżniczce na ziarnku grochu” Andersena, zaprezentowałem “Fortepian Chopina” Norwida, a później miałem spotkanie z rozentuzjasmowaną publicznością i kołem teatralnym. Powrót do korzeni, spojrzenie wstecz z perspektywy czasu i doświadczeń, wytworzyło jakieś niepowtarzalne “pole magnetyczne”, którym wszyscy byli zainspirowani.

Po powrocie z Polski, 13 listopada miałeś amerykańską premierę na największym festiwalu monodramów na świecie UNITED SOLO w Nowym Jorku i zdobyłeś nagrodę! To wspaniała wiadomość, z całego serca Ci gratuluję! Opowiedz o tym wydarzeniu i towarzyszących mu emocjach.

Serdecznie dziękuję. UNITED SOLO to kolos sztuki jednego aktora. W tym roku w konkursie wzięło udział około 90 spektakli z 6 kontynentów. Zdobyć w takiej konkurencji nagrody: BEST NEW YORK PREMIERE, to niesamowite wyróżnienie i ukoronowanie morderczej pracy.

Monodram to najtrudniejsza forma sztuki aktorskiej. Tutaj nie ma się gdzie, ani za kogo schować. "Powrót Norwida", to 90 minut solo na scenie. To bosy maraton po rozgrzanych węglach, w transcendentalnym stanie, z wiarą w zwycięstwo niemożliwego. To prawdziwe życie!

Bo nie jest światło, by pod korcem stało,

Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,

Bo piękno na to jest by zachwycać

Do pracy – praca, by się zmartwychwstało...



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”,
Theater Row, Nowy Jork, Festiwal UNITED SOLO, fot. Zosia
Zeleska-Bobrowski

Kiedy publiczność nagrodiła mnie długą owacją na stojąco,
wróciłem do rzeczywistości, zlany potem, oszołomiony ich
wrzawą, która dowodziła, że spektakl był czymś wyjątkowym,
próbowałem opanować emocje, jakbym budził się z narkozy po
operacji przeszczepu serca. Udało się z poezji zrobić super
poezję! To był obezwładniający błogostan, ekstaza spełnienia.

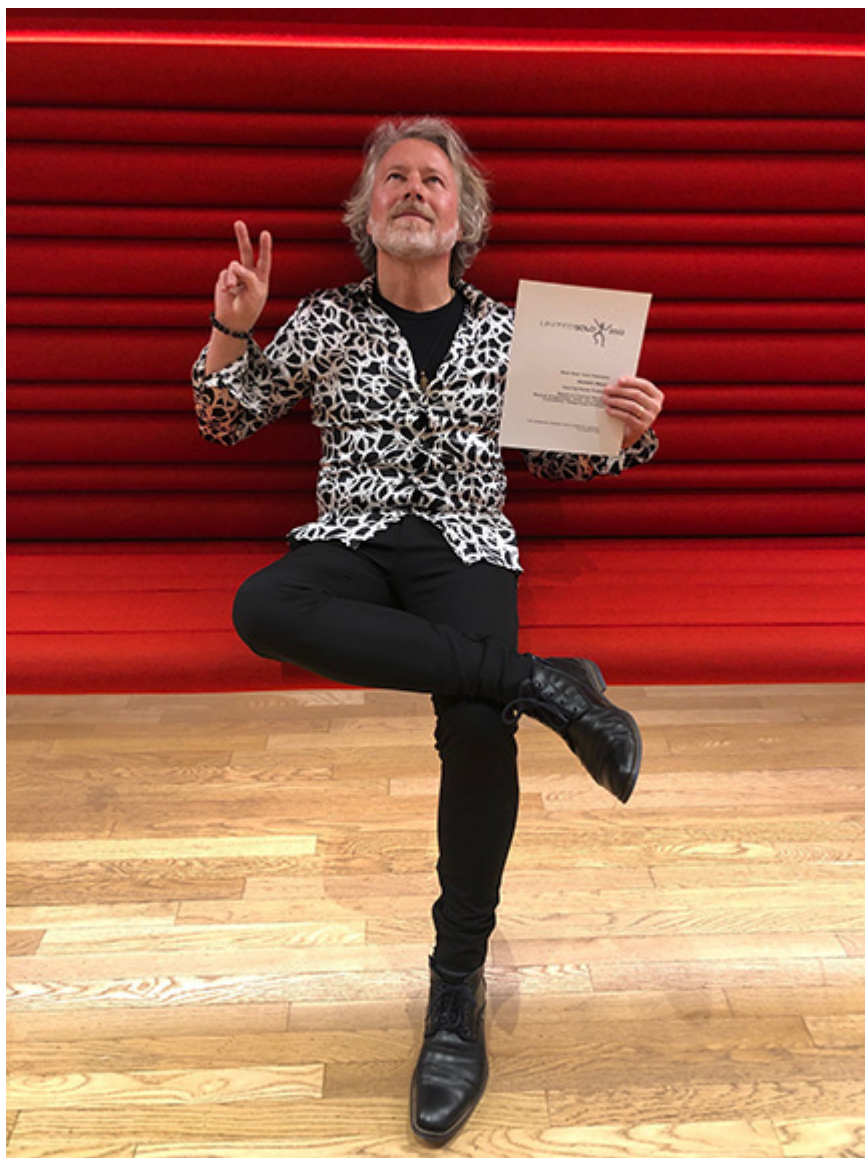
Już drugi raz otrzymałeś nagrodę na tym festiwalu. W 2018 roku zostałeś nagrodzony za spektakl o rotmistrzu Witoldzie Pileckim "Ochotnik do Auschwitz". To są sztuki o różnej tematyce, różnych postaciach i różnych przesłaniach. Co te monodramy wyróżnia, że przykuły uwagę jurorów? Co je łączy?

Mój wybór bohaterów nie jest przypadkowy. Oba monodramy opowiadają o dramatycznych losach geniuszy i wizjonerów, którzy poświęcili życie dla człowieczeństwa i sztuki.

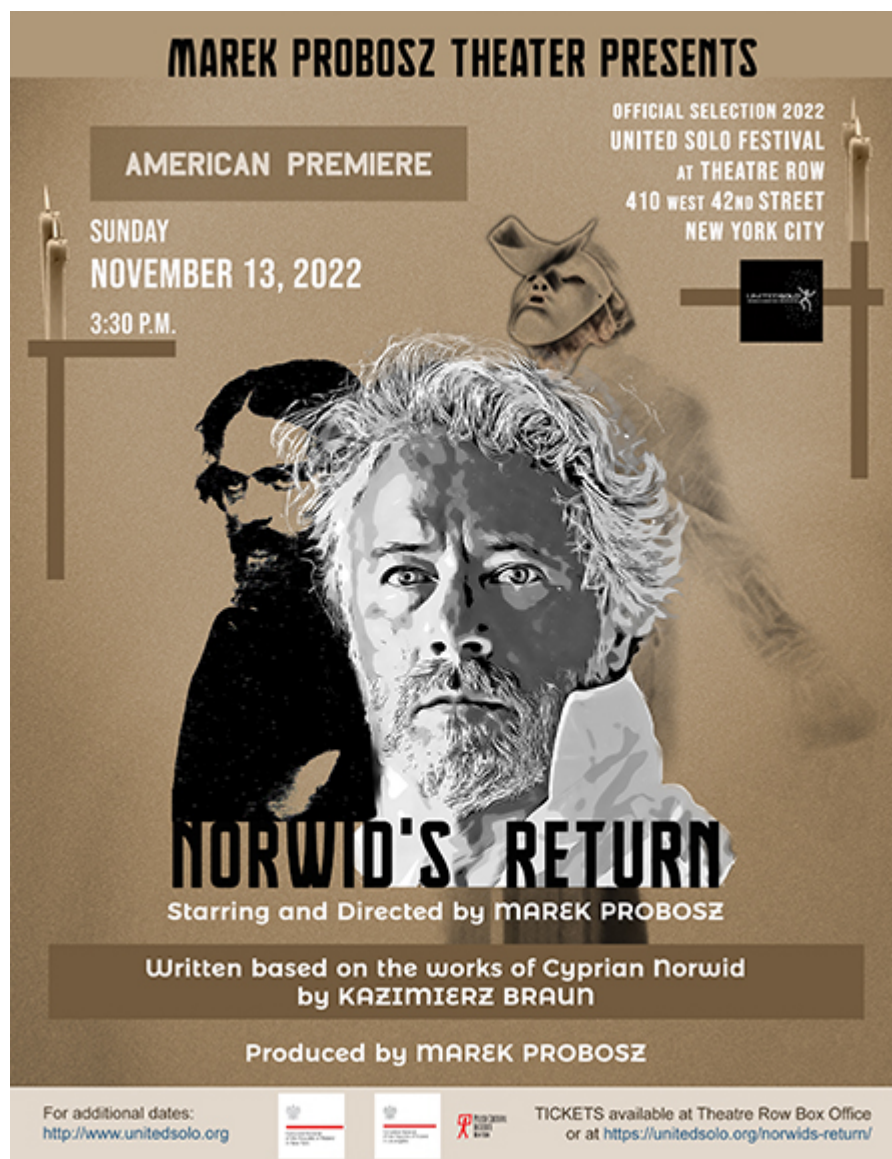
Krew naszych braci wylaną była, aby ci, co po ich śmierciach żyć będą, byli wolni, szczęśliwi i wyżsi.

W 2018 roku zdecydowałem się wyreżyserować i wykonać monodram o rotmistrzu Pileckim, bo była historyczna okazja, możliwość opowiedzenia o jedynym ochotniku do Auschwitz w 100 rocznicę odzyskania Niepodległości Polski! Zostałem przyjęty na największy festiwal monodramów na świecie UNITED SOLO. Do konkursu stanęło 130 spektakli z 6 kontynentów! Światowa premiera Pileckiego odbyła się w niedzielę 11-go listopada. Wydarzył się cud! Bilety wyprzedane, widzowie zahipnotyzowani, długie stojące owacje. Krytyka Broadway'u oceniła monodram maksymalną ilością 5 gwiazdek. Prasa pisała: „Tego spektaklu nie można przegapić!”, „Pilecki to trzęsienie

ziemi w Nowym Jorku!”



Marek Probosz z nagrodą BEST NEW YORK PREMIERE, Theater Row, Nowy Jork, Festiwal UNITED SOLO, fot. Gosia Probosz



Projekt plakatu: Lucyna Przasnyski



Wygrałem nagrodę: BEST DOCUMENTARY SHOW. Powtórzę za
 Tołstojem: *Dzieło sztuki jest dobre lub złe zależnie od tego, o
 czym i jak mówi oraz w jakim stopniu płynie to z serca artysty...*
 Wielcy bohaterowie wymagają wielkiego wysiłku, ale to właśnie
 oni pozostają w sercach najdłużej. Żona mówi – *To oni sobie
 ciebie wybierają.* I znów nie mogę jej zaprzeczyć. Oni swoim

istnieniem, pracą, poświęceniem, ofiarowaniem życia,
przezwyciężyli niemoc i strach. Są jak błyszczące ostrze, które
przenika mroki dziejów. *Syn minie pismo, lecz ty wspomnisz
wnuku!*

Wielcy nie mówią o swojej wielkości, życiem tworzą arcydzieła.
Odrzuceni i potępieni przez głupców, niezrozumiani przez
przeciętność, zdobywają życie wieczne jak Pilecki, jak Norwid,
zadziwiają współczesnych dalekosiężnością swoich wizji,
pozostając tajemnicą dla samych siebie. Są genialni,
ponadczasowi, i to właśnie ich łączy, przykuwa uwagę i wywiera
silne wrażenie na publiczności i jurorach.

Związałem swoje artystyczne życie z rotmistrzem Pileckim
wcielając się w niego po raz pierwszy w filmie "Śmierć
rotmistrza Pileckiego" Ryszarda Bugajskiego. Potem były
radiowe, multimedialne i teatralne wcielenia. Od 17 lat wędruję
z Pileckim po całym globie, uniwersytetach, festiwalach,
muzeach holocaustu, katedrach, kościołach... przekazuję dalej
jego ideały i niezłomną postawę w walce o wolność wszystkich
narodów. Jednym z owoców mojej misji „Pilecki”, jest utworzone
za prywatne pieniądze urodzonego w US syna polskich
emigrantów, Stypendium im. Rotmistrza Witolda Pileckiego w
Saint Thomas Academy w Minnesocie. Co roku jeden student
będzie kształcił się z historii, kultury i języka polskiego.
Warunkiem otrzymania stypendium jest co najmniej 50% krwi

polskiej, obejrzenie filmu "Śmierć rotmistrza Pileckiego",
przeczytanie jednej z dwóch wydanych po angielsku książek o
Pileckim i napisanie pracy na ten temat. Będę honorowym
gościem ceremonii i wręcę pierwszemu studentowi stypendium
w maju 2023 r.

Teraz związałem się z Norwidem, nasza podróż trwa dopiero od
roku, ale wiem, że będziemy pielgrzymować dalej, bez końca:

Przecież ja – aż w nieba łonie trwam,

Gdy ono duszę mą porywa

Jak piramidę!

Przecież i ja – ziemi tyle mam,

Ile jej stopa ma pokrywa,

Dopóki idę!...



Marek Probosz z żoną Gosią podczas Gali rozdania nagród, Theater Row, Nowy Jork, Festiwal UNITED SOLO 2022, fot. arch. M. Probosza

Gdy otrzymałeś statuetkę Złota Sowę w Wiedniu w 2018 r. przytoczyłeś skierowane do przyjaciela słowa swojego dziadka, Jerzego Probosza, pisarza i poety, zamordowanego w obozie koncentracyjnym w Dachau:

Życzę ci z serca mocy

Abyś co dzień i w nocy

Wytrwał! Wytrwał!! Wytrwał!!!

Choćbyś miał ziemskie ciało w proch spalić,

Musisz ducha ocalić...

Mam wrażenie, że postacie, z którymi się utożsamiasz na scenie, Pilecki czy Norwid, właśnie należą do tej grupy, którym ducha udało się ocalić. I dlatego je wybrałeś. Czy tak?

Pilecki w ostatnich godzinach życia wyrył na ścianie więzienia na Rakowieckiej: *Starąłem się żyć tak, abym w godzinie śmierci mógł się raczej cieszyć niż lękać*. Norwid powiedział w wierszu:

Gorejąc nie wiesz, czy? Stawasz się wolny,

Czy to co twoje, ma być zatracone?

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,

Co idzie w przepaść z burzą? – Czy zostanie

Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,

Wiekuistego zwycięstwa zaranie!...

Tak! Ocalić ducha! To moje życiowe motto. Staram się przekazać je dalej poprzez bohaterów, w których się wcielam, wychowując swoje dzieci, pracując ze studentami, podczas spotkań z widzami na całym świecie, napisane książki. Im staję się starszy, tym bardziej dociera do mnie: *Najszczęśliwszy jest ten sposób życia, który daje nam najwięcej możliwości zdobycia szacunku dla samego siebie.* (Samuel Johnson)

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka

*

Zobacz też:

Rotmistrz Witold Pilecki na Broadway'u

Oświęcim to była igraszka